ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 49
8 GRUDNIA 1934 R.



KWIATY ZIMY

Photo-Plat

TURYSTYKA I SPORTY ZIMOWE



FAKIR HINDUSKI W WARSZAWIE

W cyrku Staniewskich, występuje obecnie słynny fakir hinduski Blacaman, swego rodzaju fenomen, hypnotyzujący dzikie zwierzęta, oraz jadowite węże. W tej dziedzinie Blacaman doszedł do rewelacyjnych wyników, a jego doświadczenia są zagadką dla całego naukowego świata.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXIX. Nr. 49 8.XII.1934

Dr. H. SZATKOWSKI

TURYSTYKA ZIMOWA

Poniżej zamieszczamy artykuł Naczelnika Wydz. Turystyki Min. Komunikacji, dr. H. Szatkowskiego, znanego działacza turystycznego, na temat tak aktualnej teraz turystyki zimowej.

REDAKCJA.

Od kilku lat jesteśmy świadkami przewartościowania najbardziej zasadniczych i od wieków ustalonych pojęć. Przewartościowania te w dziedzinie społecznej, politycznej, religijnej wywołują wstrząsy i kataklizmy. Odzwierciedlają się również i w naszem codziennem życiu zupełnie odmiennym stosunkiem do spraw, które jeszcze przed niewielu laty miały ustalone wartości i były treścią pojęć z codziennem życiem najmocniej zespolonych.

Do takich przewartościowań należy zmiana poglądów na cały szereg zagadnień związanych z zimą. Jeszcze przed kilkunastu laty zima była uważana za okres, który trzeba było jakoś „przeżyć". Chroniono się przed nią, zalepiano szczeliny, gromadzono opał, otulano się w ciepłe odzienie, by tylko nie wejść w kontakt z mroźnem powietrzem. Gdzieś tam, jakiś zapalony myśliwy wiedział, jak wygląda krajobraz zimowy, — pozatem społeczeństwo zrywało kontakt z przyrodą z chwilą, gdy nastała na dobre jesień, by dopiero na wiosnę powrócić znowu do przyjemności i zainteresowań z przyrodą związanych.

Odbijało się to szczególnie silnie na turystyce, która przez szereg dziesiątków lat rozwijała się wszędzie, a także i w Polsce wyłącznie jako turystyka letnia. Jeszcze przed kilkunastu laty nie mieliśmy prawie w Polsce schronisk zagospodarowanych na zimę, życie turystyczne zamierało późną jesienią, a nieliczni narciarze i zimowi turyści spotykali w terenie warunki rzeczywiście pionierskie.

Trudno tutaj dochodzić przyczyn przeobrażenia i przewartościowania, jakie w ciągu ostatnich dwunastu lat miało miejsce w tej właśnie dziedzinie, a którego skutki obecnie obserwujemy. Dość stwierdzić, że dziś główny ciężar ruchu turystycznego przesuwa się powoli na miesiące: styczeń, luty i marzec, że w szeregu miejscowości miesiące te, tworzące t. zw. sezon zimowy, są znacznie intensywniej wykorzystywane, aniżeli miesiące letnie. Gdy jeszcze ostatnio władze szkolne stworzyły jako odpowiednik wakacyj letnich wakacje zimowe, zima jako okres wycieczek, odpoczynku i swobodnego obcowania z przyrodą otrzymała niejako oficjalną sankcję.

To przeobrażenie pojęć miało zapewne swoje przyczyny, głęboko sięgające w psychikę społeczeństwa. Nas interesuje tu stwierdzenie jednego faktu: zima daje turyście pod wielu względami znacznie więcej przyjemności, aniżeli lato. Przedewszystkiem przez nierozerwalne połączenie turystyki zimowej z narciarstwem. Narciar-

stwo samo dla siebie jest pełnem uroku ćwiczeniem fizycznem, łatwem do opanowania, a dostarczającem tak wielkich emocyj i przyjemności, że jak żaden inny rodzaj sportu zdobywa sobie w piorunującem tempie zwolenników. Otóż narciarstwo jest nierozerwalnie związane z uprawianiem turystyki. Istotą bowiem narciarstwa jest pokonywanie przestrzeni, przebywanie odległości, dążenie do celu, a to właśnie wykonywanie narciarstwa wiąże się z założeniem pewnych celów turystycznych. Obrazowo rzecz przedstawiając, zimowy turysta na nartach w porównaniu z letnim turystą pieszym ma, oprócz przyjemności turystycznych, jeszcze bardzo wielkie przyjemności natury sportowej, silnie z niemi połączone. I obojętnem jest, czy będzie to skromny narciarz podmiejski, czy narciarz-alpinista, rozkoszujący się emocjami wysokogórskiego zjazdu z jakichś Granatów lub Koziego Wierchu, — jeden i drugi będzie w uprawianej przez siebie turystyce miał nietylko przyjemności podmiejskiej przechadzki lub wyprawy wysokogórskiej, ale również zadowolenie płynące z opanowania techniki narciarskiej.

Dyskusja na temat, czy przyroda piękniejszą jest w letniej czy w zimowej szacie, jest bezcelowa. Jedno możemy stwierdzić, że człowiek uciekający z miast i szukający wytchnienia na łonie przyrody znajduje w zimie znacznie większą różnicę między miastem a górami i lasami, niż w lecie. W lecie bowiem jeszcze piękna pogoda wiosenna lub letnia czyni pobyt w mieście względnie znośnym, parki i racjonalnie zabudowane dzielnice dają pewien odpoczynek swą zielenią. W zimie miasto nie ma żadnych tego rodzaju namiastek, swobodnej przyrody. I dlatego człowiek z miasta, wyrywający się w zimie bądź to w góry, bądź też w okolice lesiste, odczuwa znacznie silniej wielką różnicę między tem, co zostawił opuszczając miasto, a tem, co zastał przybywając na wieś.

Krótkość trwania zimy w naszym klimacie wymaga organizacji sezonu zimowego. I dlatego znacznie łatwiej jest korzystać z przyjemności zimy, aniżeli z przyjemności lata. Dość wskazać na specjalne udogodnienia komunikacyjne, na specjalne pociągi raidowe, wagony turystyczne, dość wymienić długi szereg różnego rodzaju imprez o charakterze sportowym i towarzyskim, jakie miejscowości zimowe urządzają dla przyjemności turystów. Dzięki tej organizacji zima jest niejako bardziej udostępniona, a jej przyjemności bardziej powszechne.

PIĘKNO LASU W ZIMOWEJ SZACIE

Fot. Wieczorek



KORNEL MAKUSZYŃSKI

GNIAZDO SŁOŃCA

Dwa są wspaniałe ptaki, co latają po niebie perskiej bajki: ogromny ptak Rok, ptak - skała i cokolwiek mniejszy od niego, lecz nierównie świetniejszy: ptak - słońce. Złoty ptak, co się rano rodzi we krwi jutrzenki, a na noc zapada w głąb morza. Lata on wszędzie i napełnia cały świat; lecąc po jego bezmiarze, musi czasem odpocząć i wtedy siada na wielkich górach. U nas gniazdo jego znajduje się w Tatrach. Właśnie ten czas nadchodzi, w którym najchętniej się tam pojawia, o czem nie wiedzą ludzie z dolin. Jakże nie zakrzyknąć w stronę biednych i umęczonych ludzi, co zostali na dolinach i oddychają paskudną, wilgotną, jadowitą mgłą, że lada godzina słońce opadnie na swoje skaliste gniazdo i będzie latało nad śniegami? Słońce, które czasem świeci ponad zadymionem miastem, to wcale nie jest słońce: to żółta, naftowa lampa. My tutaj, na skalistych wyżynach, oglądamy słońce prawdziwe, żywe i złote.

Tatrzańskie słońce, najcudowniejsze ze wszystkich na świecie, ma swoje zwyczaje, któreśmy bystrze tutaj podpatrzyli. Budzi się ono z końcem stycznia, a pod koniec lutego zaczyna szaleć. A potem, kiedy mu się urodzą prześliczne dzieci: krokusy, samo już nie wie, co ma czynić z obłędnej radości? Z końcem stycznia wchodzi w stadjum lekkiego podniecenia; skośnem spojrzeniem złotego oka przygląda się ziemi, a widząc, że jest piękna i bez zmazy, odziana w białą weselną szatę, zaczyna ją całować spojrzeniem, coraz gorętszem. Wkrótce rodzi się z tego miłość gwałtowna i namiętna. Pierwsze chwile słonecznych zalotów pełne są nieoczekiwanych dąsów, chmurnych min i wietrzystych wzdychań. Uśmiecha się słońce do rozłożystej i nabitej w sobie dziewoji — ziemi, a dziewoja, starym miłosnym obyczajem, stroi fochy. Więc się ono za chmurę schowa i nie pokaże się przez dzień, albo dwa. Wtedy znowu panna w płacz, białe leje ślozy, a serce jej martwieje na mrozie. Czasem w tej złocistej miłości piekielna zdarzy się awantura, co się objawia krzykliwie halnym wiatrem. Jest to intrygant piekielny, głupi, a jednak przemyślny, małpa kosmata i natarczywa, do nieswoich mieszająca się spraw. Taki Jago przeklęty, co słodką Desdemonę o śmierć przyprawił. Kiedy świat jest zalany złotą słoneczną łaską, kiedy niebo uśmiecha się, jak ktoś słoneczni̇e dobry, a ludzie mają oczy pełne niewypowiedzianego zachwytu, zaczyna się to nie podobać mrocznemu demonowi gór skalistych. Siedzi ten granitowy bęcwał w jakiejś pieczarze i przemyśliwa, jakby spłoszyć radość nieba, ziemi i ludzi i spędzić z gniazda nienawistne słońce. Nagle kosmaty drab rozpoczyna awanturę, chyłkiem a chytrze. Słońce siedzi rozłożyście na niebie, błękit sobie popija i nie zwraca uwagi na małą, wełnistą chmurkę nad Giewontem. Zdawałoby się, że to biała pasie się owieczka, odbita od stada. Wtem z pod owczego runa wyskakuje wilk i zaczyna wyć na słońce. Słońca wcale to nie trwoży, co wilka przyprawia o wściekłość. Ozorem zmiata ze szczytów śnieg, łapami go rwie we wściekłości i rozpryśnięte tumany kurzawy w słoneczne ciska oko. Wielki chwyta go obłęd: zrozumiawszy, że słońca z gniazda jego nie ruszy, zaczyna kąsać skały, potem się toczy w dolinę i w nieprzytomnej wściekłości drze kosmatemi łapami wszystko, co napotka.



Zakopane — pomnik Sabały w śniegu. Fot. Wieczorek

Potem woła jeszcze na pomoc stado chmur i śnieżystą burzę, wreszcie zdycha, jak smok, który, wściekłością nadęty, haniebnie się rozpuknął.

Po takiej straszliwej awanturze, po ostatniej walce ziemi z niebem, wilkołaka ze słońcem, rozpocznie się już nieprzerwana serja dni szczęśliwych. Inaczej być nie może, bo nigdy inaczej nie było za ludzkiej pamięci, choćby Pim na zmokłej stanął głowie i choćby własną połknął izobarę. Będziemy nawlekali na złotą nitkę paciorki dni błękitnych. Będzie się nam wydawało, w tej tatrzańskiej stanicy, w tej, słońcem spienionej, lazurowej zatoce nieba, w tej polskiej grotta azzurea, że szczęście, jak liljowy krokus, już jutro zakwitnie na śniegu.

O, złudo złud!...

To śnieg — „biały baranek Boży" (jak go ślicznie zowie poetka), — tak wybielił zgryzoty i troski czarne, jak ziemia. Jesteśmy świątecznie przybrani na tym słonecznym balu, na tem „święcie słońca". Na oczach mamy uśmiech, upiliśmy się winem powietrza, narty niosą nas koleiną, którą wyżłobił wolny, beztroski wiatr. A słońce lata ponad nami... Złoty ptak, który ma gniazdo we wnętrzu gór. Wiedzcie wszyscy, że tylko tu, u nas, można je ujrzeć w całej paradzie.

Cały świat jest pełny naszego słońca!

I cały „Świat".



Halina Konopacka - Matuszewska, mistrzyni świata w rzucie dyskiem i wszechstronna sportsmenka

HALINA KONOPACKA-MATUSZEWSKA

PIERWSZA WYRYPA

Zebraliśmy się w jakiejś karczmie koło kościoła Zakopiańskiego. Koledzy i koleżanki — wytrawni narciarze. O nartach wiedziałam tyle, że się je przypina do nóg i podobno jedzie po śniegu. Mieliśmy tego popołudnia dojść do schroniska w Chochołowskiej, aby na drugi dzień iść dalej w góry. Ich poważne i długie przygotowania do wycieczki przerażały mnie. Nikt jednak nie podejrzewał we mnie strachu. Nie orjentują się. Myślą, że jak ciskam daleko krążek drewna — to muszę umieć wszystko. A tymczasem Zakopane dotychczas znałam tylko z saneczek... i dancingów.

Z gwarnej sali rozbawieni i buchający ciepłem wysypaliśmy się na śnieg. Niebardzo orjentowałam się w odległościach w górach. Około 20 kilometrów? Bagatela. 20 kilometrów marszu, to przecież dam radę! Podglądam, jak ciężkie plecaki fruwają na plecy, a wielkie okute żelaziwem dechy na ramiona. Byle się z czemś nie zdradzić, bo zostawią na drodze, nie wezmą patałacha, broń Boże trzeba będzie za niego plecak nieść, a może i na nartach ciągnąć.

Rytm wyniesionej z knajpy piosenki daje długi równy krok. Powoli przestają gnieść ramię kanty nart i plecak przyzwyczaja się do pleców. Nogi w ciężkich butach ciągną naprzód wyśmienicie.

Ostatnie zagrody Zakopiańskiej drogi. Zaczyna się dobry śnieg. Przypinamy narty. Ja też „przypinam" — poraz pierwszy w życiu naprawdę. Nic nie chce pasować, ani but do narty, ani narta do nogi, choć przecież wszystko nowiutkie i pięknie dopasowane w sklepie. Zgrabiałe ręce nie mogą zapiąć śliskiej klamry, plecak spada na głowę, rękawice zmokły od śniegu, kij plącze się w ręku, nos boli od zimnego wiatru. Wreszcie czuję, że nogi choć zakute w ciężkie deski niosą mnie cicho i puszyście przez jakieś nierówności. Jadę, naprawdę jadę na nartach! Śliskie deski wyciągają krok posuwisty i rozkosznie suną po miękkim śniegu. Lekki pęd napełnia mnie radosną dumą. Muszę się śmiać głośno z uciechy. Plumps! — siedzę.

Jestem nieco rozczarowana, ale nie tracę animuszu. Z trudem wysupłuję się z węzełka splecionego z nóg, kijków, nart, rzemieni od plecaka, rąk i szalika. Postanawiam sobie uważać bardziej. I znów przez dłuższą chwilę jazda na nartach nie wydaje mi się trudna. Doganiam nawet tych, co mnie minęli. I — znów siedzę.

Jestem ostrożniejsza teraz. I dłuższy czas idzie dobrze. Tylko ta przeklęta równowaga z ciężarem na plecach. Nogi zaczynają powoli mdleć od ciągłych upadków, a ramiona drętwieją od trzymanych kurczowo kijów.

Słońce szybko gaśnie. Oblało nasze twarze czerwienią i spadło za góry, pozostawiając świat w białofioletowym zmierzchu. Obejrzałam się trwożnie za siebie. Goniła nas ciężka, zimowa noc. Sznur ciemniejących sylwetek wydłużył się. Trzeba przyśpieszyć tempa — do schroniska jeszcze daleko. Narty zaczynają ważyć coraz więcej, więcej chyba ważą już, niż moje zmęczone ciało. Oczy wpatrują się w plecy idącego przedemną narciarza. Wkońcu zlewa się wszystko w jedną szarą masę: na białe pola kładzie się czarna noc.

Kiedy teraz upadam, to siedziałabym tak wygodnie, miękko nawet w tej pozycji poplątanej i śmiesznej ,aby choć trochę w bezruchu przez chwilę nie czuć drętwości nóg i ramion i chwycić równy spokojny oddech. Ale noc goni, a upadków czeka mnie coraz więcej, zaś każdy jest coraz cięższy i coraz trudniej zbierać rozrzucone w śniegu kije. Nogi tracą sprężystość, a śnieg za kołnierzem już zamienił się w stały zimny kompres, ściekający wąskiemi strużkami po grzbiecie.

O, co dałabym za to, żeby móc zdjąć z nóg te przeklęte kawały drzewa, któremi chyba wrosłam w ziemię i pójść zwyczajnie po twardym gruncie!

Już myślę raz i drugi, że poproszę o pomoc. Niech wezmą choć plecak z karku. Przecież oni umieją, a ja nie. Ale póki jestem przytomna — wstyd mnie wstrzymuje. A potem nie mam już sił prosić. Cały wysiłek pochłania ruch.

Czas wyciąga się niemiłosiernie. Zdaje mi się, że idę już od stworzenia świata. 20 kilometrów? To nieprawda. To musi być pochód przez czyściec, który może trwać wieki.

Aż wreszcie... Wreszcie! W ciemności migoce światełko nikłe, chybotliwe, coraz wyraźniejsze, coraz bliższe, obietnica ciepła i odpoczynku — schronisko!

Półprzytomna ze znużenia, bezwładnie padam na posłanie. Oblało mnie gorąco schroniska, zamajaczyły twarze kolegów uśmiechających się życzliwie i ironicznie — i zapadłam w głęboki sen, jak w cichą ciepłą wodę.

Jaskrawe słońce poranka obudziło mnie z poczuciem zmęczenia, ale i przekonania, że jestem narciarką.

Poszliśmy w góry.

A jednak dziś, zdaleka widzę, że właśnie ta pierwsza nierozsądna „wyrypa", przy której nie pozwoliłam sobie usiąść na śniegu i rozbeczeć się ze zmęczenia, — była naprawdę największym moim wyczynem sportowym.

KRYNICA ZDROWIA

Kiedy śnieg swą białą szatą okryje lasy, pola i góry, pragnienie ucieczki zaczyna prześladować każdego mieszczucha. Rozkłady jazdy, terminy imprez, możliwości urlopów, inspekcja... portfeli i najbliższych płatności, wszystko to idzie w ruch. Strategja, by jaknajmniejszym kosztem, być jaknajdłużej poza miastem, święci swe tryumfy. Człowiek liczy i liczy, mnoży, dzieli, odejmuje.. dodaje coraz rzadziej. Wreszcie wszystko mu się plącze z wielkiej ochoty wyjazdu. Minuty z rozkładów jazdy dodaje do posiadanej gotówki i zdaje mu się, że jest... zamożny. Od cen hotelów i pensjonatów odejmuje dni urlopu i przekonywuje się, że będzie mieszkał prawie darmo. A kiedy upora się wreszcie ze skaczącemi cyframi na tle mirażu gór, śniegu i swobody, zjawia się nowy konflikt na finiszu: „Perła gór" — czy „Królowa uzdrowisk"?

Nęci stolica hockey'a, zdobywczo wabi stolica nart. I tu i tam ciągnie serce.

Przerwijmy jednak ten ostatni konflikt, bo i tu i tam dobrze być, byle można pojechać.

Od czasu międzynarodowych zawodów hockey'owych w 1931 r. Krynica weszła w krąg wielkich międzynarodowych punktów sportowych. Pamiętamy radosny impet sportowców — tysiące widzów na pięknym stadjonie, śmiech zwycięski i flirt w różnych językach na ścieżkach, wzgórzach, w kotlinach, salach hotelowych i w kawiarniach. Było wówczas tempo, którego echo odnajdowało się długo w różnych punktach świata, gdzie sławiono urok i gościnność Krynicy. „Królowa" uzdrowisk ma to do siebie, że istotnie każe za sobą tęsknić. Jej łagodne faliste tereny z tak świetną wystawą słoneczną i zasłonięciem od wiatrów dają możność świetnego wypoczynku i tym co chcą pić i chłonąć górską ciszę, i tym, co wycieczek pięknych dalekich a łatwiejszych na swych nartach szukają. Wreszcie tych co dolegliwości swe chcą w kąpielach, wannach pławić, Krynica hołubić jest gotowa cały rok. Od huraganowego hockey'a do błyskawicznych zawodów saneczkowych, odbywających się na jednym z najpiękniejszych torów w świecie, życie sportowe kipi, wre, kłębi się w tem osiedlu zdrowia i radości.

L. Ch.



Urok Krynicy w zimie — Photo-Plat

BOHDAN TEOFIL LEPECKI

ROBINSONJADA W TATRACH

Gdzie jechać na Boże Narodzenie? Na wsi nudno. W modnych uzdrowiskach — zgiełk, tłok, nadeptywanie sobie na odciski. Malownicze jeziora wileńskie — rozkosz wodnych turystów — ścięte lodem, tylko wichury północne po nich hulają.

Wiem już, co zrobię... Na skraju doliny Kościeliskiej w Tatrach, na Pysznej Hali, znajduje się niezagospodarowane schronisko górskie. Z braku bezludnej wyspy, na której mógłbym uprawiać żywot Robinsona, zamieszkam na odludziu tatrzańskiem. Lasy i śniegi odetną mnie lepiej od świata, niż fale morskie.

Jadę. Rankiem następnego dnia szczelnie zapełniony pociąg świąteczny dociera do Zakopanego. Po załatwieniu formalności w miejscowym oddziale Towarzystwa Tatrzańskiego dostaję olbrzymi klucz od schroniska i wędruję na Pyszną Halę.

Droga była ciężka. Nie umiałem jeszcze wówczas jeździć na nartach i co chwila zapadałem się po kolana w śniegu. Drogę zagradzały mi pnie zwalonych przez wichurę drzew, przysypane śniegiem jamy. Mrok już wypełnił dolinę Kościeliską, kiedy zamajaczyło na skraju zaśnieżonej hali drewniane schronisko. Z trudem otworzyłem oblodzone drzwi i „wylądowałem na mojej wyspie bezludnej".

Przy mdłem świetle świeczki choinkowej przeszukałem schronisko. W kącie, obok pryczy i stołka z blaszaną miednicą, znalazłem siekierę i trochę suchego drzewa. Zabawiłem się w cesarza Wilhelma II-go i porąbałem wielkie bierwiona na małe smolne szczapy. W kilka chwil później ogień trzaskał na kominku i czerwone poblaski pełgały po podłodze schroniska. Zmęczony obijaniem się po manowcach leśnych, zasnąłem mocno. Na milę wokoło nie było ani żywej duszy i nikt nie zakłócał ciszy spokojnej, rozgwieżdżonej nocy grudniowej.



Tatry zimą fot. Małachowski

Wczesnym rankiem zerwałem się z pryczy, rozdmuchałem przygasły ogień. Wybiegłem na dwór. To, co ujrzałem, wprawiło mnie w zachwyt. Schronisko znajdowało się na skraju olbrzymiej polany Pysznej Hali. Polana pokryta była srebrnym, sypkim puchem.

Rześwy chłód zawiercił w nozdrzach. Chwyciłem ręcznik i biegnę do pobliskiego strumyka. Rzeczki górskie płyną tak wartko, że nawet dwudziestostopniowy mróz nie potrafi ich zlodowacić. Bez namysłu rozebrałem się i zanurzyłem w wodzie... Br... Zimno! Wyskoczyłem jak z procy i biegiem marsz do schroniska. Wszystko to trwało zaledwie kilka minut. Jakież było moje zdziwienie, kiedy już w schronisku, wycierając się przed kominkiem, zauważyłem, że zmoczone włosy zamieniły mi się na lodowate druty.

Wieczorem miałem zasiąść do samotnej uczty wigilijnej. Trzeba było pomyśleć o obrzędowej choince. W pobliżu nie było mniejszych drzew, więc wędruję na zbocze sąsiedniej góry. Niemało naprzewracałem się w śniegu, zanim znalazłem coś odpowiedniego. Wreszcie — objuczony piękną choinką — wracam do mojej samotni.

Wyciągam z plecaka kolorowe świeczki, zimne ognie, błyszczące ozdoby, przystrajam choinkę i cieszę się, jak dziecko.

Na kominku w kilku menażkach gotuje się biesiada wigilijna. Nie brakuje ani ryb ani tradycyjnych klusek z makiem. A wszystko to przyrządzone według przepisu pewnej mądrej warszawskiej gosposi, która miłemi paluszkami wypisała mi na kartce kulinarną receptę. Rozkoszne zapachy łechcą podniebienie.

Najkrótszy dzień w roku powoli przygasa. Na horyzoncie ukazuje się pierwsza gwiazdka. Czas zasiąść do biesiady. Fałszując ile wlezie śpiewam jakąś kolendę zasłyszaną w dzieciństwie. Rzewne jej dźwięki wsiąkają w ciszę nocy. Płomień na kominku, ożywiony kilku smolnemi szczapami, napełnia izbę migotliwem światłem. Ani jeden odgłos nie zamąca ciszy nocy wigilijnej.

Wychodzę przed schronisko. Ogromny księżyc wtoczył się na niebo. Polana jest widmowo biała.

W oddali rysują się szczyty Tatr. Wszystko na świecie się zmieniło. Ludzkość przeszła tyle przeróżnych kataklizmów, tylko te srebrzyste turnie są takie same, jak niegdyś, jak przed tysiącami lat, kiedy świat uformował się wreszcie z chaosu.

Rozbłyskiwały srebrzyste turnie dzisiaj tak samo, jak niegdyś, kiedy za Karpaty wędrowały groźne Chrobrego drużyny, kiedy Szwedzi zagradzali drogę Janowi Kazimierzowi, gdy przed kilkudziesięciu laty górale wyruszali na powstanie.

Kilka jeszcze dni spędziłem w cichej dolinie tatrzańskiej. W braterskiem współżyciu z przyrodą zapomniałem o troskach dnia powszedniego. Chłonąłem pełnemi piersiami ciszę — powoli uspokajały się rozdygotane nerwy, życie nabierało innego wyrazu.

Ale wszystko dobre na świecie kończy się rychło. Pewnego słonecznego poranku ruszyłem w drogę powrotną. Na jednym z zakrętów drogi leśnej ujrzałem sunącego żwawo narciarza. Przestałem już być Robinsonem...

RAFAŁ MALCZEWSKI.

ZAKOPANE W ZIMIE

Ileż wieków istniało Zakopane bez sezonu zimowego! Zanim odkryto w Europie zimę (najwspanialsze odkrycie 19 wieku!) — w Zakopanem marli tubylcy z głodu, a później „goście" z gruźlicy. Góral siedział w izbie z zaduchu i „puku", i czasem tylko wystawił nos na dwór, by pojechać do lasu po drzewo lub do miasta po wódę. Przybysz z dołu leżał na werandzie okutany w futra i wdychiwał lecznicze powietrze pod niebem z szafiru lub topazu, wydany na łup mękom niepewności i wyskokom termometru.

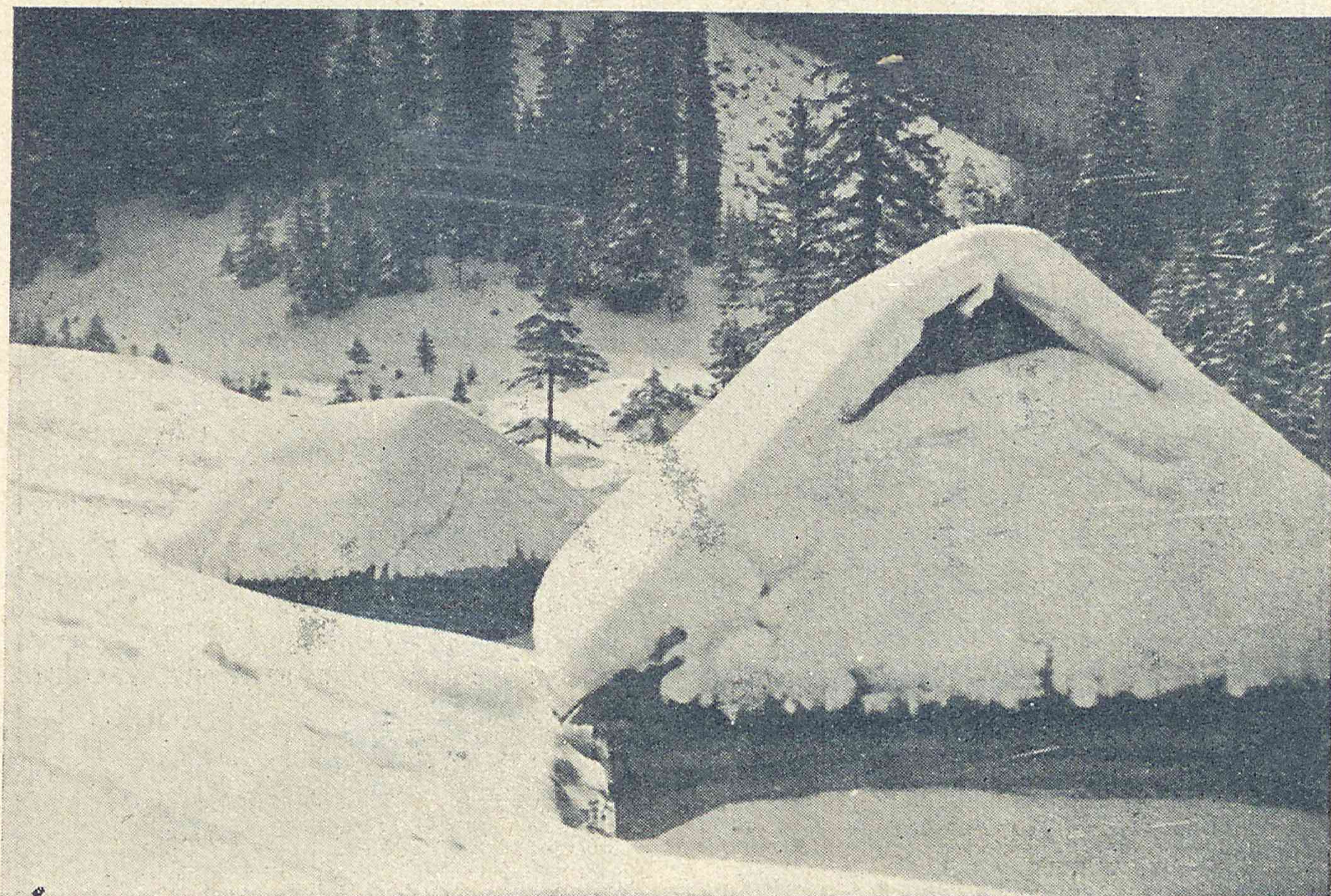
Zdrowy nie miał co robić pod Giewontem w zimie.

Dopiero z początkiem dwudziestego wieku paru śmiałków przypasało narty i ruszyło w góry. Przedtem już brnąc po pas w zaspach, Karol Potkański zdobył szczyt Kasprowego Wierchu, nikomu jednak nie śniło się powtarzać tych szaleństw. Taksamo pierwsze wyprawy na nartach przeszły bez echa. Tatry ciche i mroźne, zadufane w swoją moc zimową, nie przypuszczały, że wyrosło już pokolenie, które wedrze się w ich wnętrze, rozpanoszy się i podbój ich dziedziny przeprowadzi do końca.

Niema jeszcze lat trzydziestu, gdy w Zakopanem pojawili się pierwsi narciarze z dołów. W tym okresie dzielne letnisko rozrosło się potężnie. Z małej miejscowości podgórskiej urosło srogie byczysko zadzierzyste i krzepkie — pierwszorzędna stacja sportów zimowych, Mekka wyznawców Zimy, miejsce, w którem narciarstwo stało się sportem ludowym.

Gdyby tylko piec wystarczał do szczęścia, Zakopane byłoby rajem. Skoro bowiem nadejdzie zima, huczą piece centralnego ogrzewania, ciągną wozy z koksem nabytym na kredyt, miasto dymi jak huta i każdy znajdzie swoje ognisko, przy którem się ogrzeje napewno. Lecz dzisiejszy gość ma dużo większe wymagania. Nie cieszy go nawet dorywcze ognisko domowe pod Giewontem. Za swoje trzy grosze pragnie ujrzeć na Równi Krupowej Szwajcarję i państwa skandynawskie, zebrane razem polakierowanym luksusem z Miami. Gość ma prawo tego wymagać. Zakopane stać na to, by tego tak zaraz nie robić.

Trzeba przyznać, iż w zakresie pomieszczeń Zakopane uczyniło wszystko, by gość czuł się dobrze, jadł smacznie, spał, o ile czas mu pozwoli, wygodnie. Taksamo wygadza mu zima zakopiańska, najczarowniejsza z czterech pór roku, z których trzy inne też są do rzeczy i mają kochanków wbród. Pozatem wiele inwestycji połączonych z rozwojem sportów zimowych cieszy serce obywatelskie. Posiadamy olimpijską skocznię im. Karola Stryjeńskiego na Krokwi, ślizgawkę, stadjon dla wyścigów konnych i stukonnych samochodowych. Wiele szkół narciarskich — prawie tyle ile chałup góralskich i ceperskich. Wreszcie parę schronów dla zagazowania się alkoholem. Pozatem Gubałówkę — nieocenione i niedocenione wzgórze, rozlana dobroć i spokój, miejsce nagrzewania się ludzi — salamander. A nadto jeszcze bastjon Tatr, niewyczerpany skarbiec rozkoszy narciarskich i turystycznych, filar sławy Zakopanego z granitu.



Szałasy w dolinie Strążyskiej. Photo-Plat

Mimo wszystko zawsze znajdzie się jakieś niedomaganie, które kłuje w oczy przybysza. Tubylca także. Lecz ten związany miłością do tego piekielnego uroczego zakątka zawsze waha się, czy jakiemś nieopatrznem słowem nie da mu łupnia. Lecz pal sześć! — zbliża się sezon zimowy i żadne urąganie nie powstrzyma powodzi gości.

Zanim dobierzemy się do większych i poważniejszych bolączek, warto wspomnieć o drobnych napozór a dokuczliwych, jak katar. Zakopane, rozbudowujące się szybko i nieopatrznie, rozpiera się i zajmuje wszystkie po kolei pagórki pod domostwa. Niedługo narciarz—„pendzlarz" nie będzie miał się gdzie podziać. Przepadł Wilcznik — powoli pełzną zabudowania na Lipki, owe sławne Lipki, gdzie jak na odpuście rojno i gwarno. Kioski, leżaki, narciarze, saneczkarze, konne zaprzęgi, piesi, dzieci i starcy, wszystkie rasy i języki, wiary, obrządki — cały ba-

Na skoczni. Photo Plat





Przybycie pociągu narciarskiego do Zakopanego. Photo. Plat

łagan zimowy, który o pewnej porze zwala się na południowy dancing do Karpowicza — wszystko to jest zagrożone. Jeżeli już mamy się wzorować na Szwajcarji, to zacznijmy od tego i ochraniajmy niektóre zbocza przed zabudowaniem. Dziś już trzeba pomyśleć o Gubałówce, by i tam w przyszłości nie zamurować najlepszych zjazdów. Dziwny przepis o ogradzaniu niezabudowanych parceli obrzydził życie narciarzom wyruszającym na deskach od progu pensjonatu. Nie mówiąc już o tem, że z chodników przepędza narciarza policjant, a z jezdni ochoczy woźnica, najeżdżający z rozkoszą zwłaszcza początkujących „skijarzy". A przecież człowiek stąpający na deskach powinien być świętością w miejscowości szczycącej się chlubnem mianem pierwszej stacji sportów zimowych w Polsce!

Miejmy nadzieję, iż z czasem będzie można w jednym dniu zwiedzić jakiś szczyt w Zachodnich Tatrach lub w Bielskich i tego samego dnia powrócić do Zakopanego, złapać pociąg i poczłapać po błocie do biura w stolicy. Oczywiście, że i dziś można to uskutecznić — zgoła łatwo wynajmując taksówkę lub parokonne sanki. Lecz nie każdy jest Kreugerem, cóż dopiero narciarz! Autobusy zakopiańskie jak dotąd obsługują raczej stuprocentowych ceprów, obowiązanych tradycją do zwiedzenia Morskiego Oka, Schmeksu lub Szczyrbskiego Jeziora. Taki zaś pan w wiatrówce a nie w oposach — wzbudza wyraźną niechęć u benzynowych automedonów. Plecak wbrew rozsądkowi oznacza w ich oczach skrajną nędzę i dopiero walizka z byle świni wzbudza szacunek...

W tem miejscu, skoro dobrnęliśmy do ludzi obarczonych portfelem i latami — należy przypomnieć, że i im można by wynaleść jakąś frajdę, gdzieby nie byli tylko widzami, jak na wyścigach konnych lub pod skocznią, lecz brali w niej czynny udział, nadstawiali trochę karku i mieli słuszne prawa do sławy. Myślę o torze bobslejowym. Ten, który istnieje, nadawałby się raczej dla nieboszczyków pragnących wiecznego spoczynku. Poza dwoma wirażami nie kryje w sobie żadnych niespodzianek i wiedzie okolicą zgoła nudną. Zapomniano widać o tym sporcie dla emerytowanych narciarzy, kierowców samochodów, ludzi dzielnych, ale z powodu krótkiego oddechu lub brzucha wyeliminowanych ze sportów polegających na uganianiu na własnych nogach.

O „curling'u" dla staruszków nie warto wspominać — wątpię bowiem, czy zamiatanie miotłą śniegu odpowiadałoby charakterowi naszego narodu. Chyba, że ruszy na nas ławą zagranica. Natomiast najmłodszym wartoby się przysłużyć. Porządny tor saneczkowy tylko dla dzieci zjednałby nam przyszłe pokolenie. Chodzi tu właściwie o *nieco podrosłe niemowlęta*, ponieważ czteroletnie wygi gonią już na deskach i znają się na smarach, jak sam Motyka Zdzisław. To, że mamy w Polsce dzieci poddostatkiem, nie powinno powstrzymywać nas od tej inwestycji. Opłaci się w przyszłości napewno.

* * *

Wyobraźmy sobie, że spłynął na Zakopane złoty deszcz. Odprowadziliśmy potoki do urzędu gminnego i łowimy mamonę. Za rok posiadamy lotnisko i co rano — zwłaszcza w niedzielę lub święta — aeroplany zwożą gości wyspanych w domowych pieleszach, zapalczywych sportowców, pragnących choć w jednym dniu użyć rozkoszy zimowych pod Tatrami, stęsknionych małżonków, narzeczonych, włóczykijów i t. d. Stacja sportów zimowych rozsiadła się na Gubałówce, wpoprzek której wiją się ulice, któremi mkną autobusy L. O. P.

Z podhalańskiej prowincji od Witowa, Bukowiny, Brzegów, Trybsza, kolejka elektryczna wyrzuca raz poraz tłumy wycieczkowiczów, szukających pod Giewontem na Krupówkach wszystkiego, w co powinna obfitować stolica zimy tatrzańskiej. Więc zjawiają się nabywcy sprzętu narciarskiego, wytworów mody, kosmetyków, obrazów, rzeźb. Pięć konkurujących ze sobą kin sadzi się na najwspanialsze programy. Teatr zapełnia się po brzegi doborową publicznością, w dancingu ruch i szyk — tualety balowe, powietrze do oddychania a nie do wieszania siekiery, ceny wykalkulowane w zarządzie przedsiębiorstwa, a nie w szpitalu warjatów. Gdy halny wiatr stopi powłokę śnieżną na jezdniach — nocą samochody miejskie wywożą na ulice świeży śnieg, tak by rano jazda fiakrem nie była grą o życie. W Tatrach w schroniskach wanna stała się sprawą nader zwykłą, turysta gościem codziennym, kuferkowiec zjawiskiem rzadkiem. Każdy komin w sławnem uzdrowisku opatrzony jest w aparat pochłaniający sadzę, tak, że wylegujący się na werandach amatorzy spoczynku wracają do pokojów czyści, jak przystało na siedzibę najwspanialszej białości.

Nocą odpływa fala powrotna do Witowa, Bukowiny, Zębu czy Zubzuchego. Syta wrażeń, drzemie w wygodnych przedziałach. Od Poronina zaś sunie elektryczny pociąg, który przed dwiema godzinami opuścił krakowski dworzec. Za chwilę wpadnie na zakopiański, obok którego stoi ogromny hotel turystyczny. Ostatni łapacz gości wybudował sobie pensjonat i nikt wysiadającego podróżnego nie bałamuci. Przed dworcem dzwonią dzwonki sanek — pięknej nocy zimowej nie zakłócają ryki urżniętych fiakrów.

* * *

O złotym deszczu niema mowy. Trudno. Lecz spadnie napewno inny lotny pył — cenny nieledwie jak złoto, błogosławieństwo dla Zakopanego — śnieg. Gdy ten zaś nakryje to i owo zbyteczne i niestosowne oku wędrowca z dalekich stron, gdy słońce go rozjarzy, śniadą puszystość rozkroją narty, gdy błękitny cień padnie od drzew i chat, a różowe Tatry wypłyną ponad ranne mgły i powietrze czyste i nieważkie wtargnie do płuc człowieka z nizin — zapomni on wnet o wszelkich smutkach i bolączkach i wygłosi pochwałę życia. Jeżeli mówić nie umie — wytańczy ją lub wykoziołkuje w srebrnym puchu. Wtedy oceni, czem było odkrycie zimy dla ludzi z szarych miast zasnutych mgłą i wilgocią.

Pójdzie swoją drogą, ale nie zapomni o ślicznem przeżyciu.

I wróci.

WAŻNIEJSZE IMPREZY ZIMOWE NA SEZON 1934/35

DATA	MIEJSCOWOŚĆ	IMPREZA
GRUDZIEŃ 1934 r.		
15	Zakopane	Otwarcie toru łyżwiarskiego i bobsleighowego.
22—26	Sławsko-Łubków	Raid narciarski.
26	Zakopane	Konkurs skoków.
26	Wisła	Otwarcie sezonu, bieg sztafetowy i konkurs skoków.
26—28	Zakopane	Międzynarodowy turniej hokejowy o mistrzostwo Zakopanego.
29—30	Rabka	Zawody w biegach i skokach.
31	Zakopane	Bieg sztafetowy 4 × 10 km. o mistrzostwo Polski o puhar St. Fächera.
STYCZEŃ 1935 r.		
1— 6	Krynica	9 Międzynarodowy turniej hokejowy o mistrzostwo Krynicy.
1—15/II	Krynica	Sztafetowy raid narciarski Związku Strzeleckiego wzdłuż Kresów Wschodnich.
4— 6	Zakopane	Międzynarodowe zawody łyżwiarskie o mistrzostwo Zakopanego w jeździe figurowej pań, panów i parami.
6	Worochta	Konkurs skoków.
6—15	Zakopane	Ogólnopolskie zawody konne pod prot. Pana Prezydenta Rzpl. (skoki przez przeszkody — skijöring-ski—skijöring).
12	Wilno	Zawody akademickie Uniwersytetu Stefana Batorego.
STYCZEŃ 1935 r.		
19—20	Krynica	Bieg 50 km. o mistrzostwo Polski i konkurs skoków.
19—21	Skoczów	Łyżwiarskie mistrzostwa Polski w jeździe figurowej i szybkiej.
27	Krynica	Zawody saneczkarskie o mistrzostwo Krynicy.
27	Wilno	Mecz narciarski Lwów—Wilno.
1— 3	Zakopane	Wszechsłowiańskie zawody o mistrzostwo Sokoła, obejmujące 1—2 turniej hokejowy i zawody łyżwiarskie.
2— 5	Krynica	Międzynarodowy Turniej Hokejowy.
6—10	. . . .	Raid narciarski w Beskidy Huc. Mikuliczyn, Kosmacz, Żabie, Worochta.
9—10	Zakopane	Mecz hokejowy międzypaństwowy Polska — Niemcy.
10—11	Krynica	V. Saneczkarskie Mistrzostwa Europy.
16—17	Worochta	Zawody narciarskie o puhar Karpat Wschodnich.
LUTY 1935 r.		
17—27	. . . .	Raid kolejowy T. K. N. wzdłuż Karpat.
MARZEC 1935 r.		
2— 3	Zakopane	Automobilowy wyścig torowy i motocyklowy.
16—17	Zakopane	Międzynarodowe zawody w kombinacji alpejskiej.
KWIECIEŃ 1935 r.		
23—24	Zakopane Dolina Pięciu Stawów	Slalom.

Fot. Wieczorek



BESKIDY ŚLĄSKIE

Do niedawna mała podgórska wioska, oddalona o 12 klm. od stacji kolejowej, od trzech lat zbliżona do świata, dzięki nowej linji, która ją łączy bezpośrednio z Katowicami i Warszawą, Wisła, w tym krótkim czasie stała się dla województwa śląskiego ożywionym ośrodkiem turystyki i sportów zimowych i zyskuje coraz większą liczbę przyjaciół w całej Polsce. Beskidy Śląskie, pozbawione wysokogórskiego charakteru Tatr, ale i ostrej spadzistości ich stoków, tworzą dla narciarzy teren znakomity: dają im łatwe podejścia i długie zjazdy. Szereg schronisk dobrze zagospodarowanych i tanich umożliwia nocleg w górach, kilkaset metrów nad doliną Wisły, na Soszku, Kozińcach, Równicy, Stożku i Baraniej Górze, która swym masywem i wysokością (1214 m) dominuje nad Śląskiem Cieszyńskim. W samej Wiśle w jednej z dolinek wystawiono skocznię na ocienionym stoku, więc z gwarancją śniegu. Nie zapomniano też o łyżwiarzach i przygotowano dla nich ślizgawkę w przepięknem otoczeniu. Miłośnicy zimy, nie używający sportów zimowych, mają do dyspozycji pięknie utrzymane drogi leśne, wiodące do Łabajowa, Dziechcinki, Jawornika i innych malowniczych dolinek, głęboko wcinających się w góry. Przepiękna jest wycieczka wśród gęstych borów pnącemi się w górę serpentynami do zameczku Pana Prezydenta. Z jego tarasów i werand odsłania się rozległy widok na ośnieżone polany i lasy, na tereny narciarskie i łowieckie, na najpiękniejsze partje Beskidów Śląskich, które tak szczęśliwie łączą w sobie łatwą dostępność, dzięki doskonałym szosom, i urok niczem nie zmącony przyrody górskiej.

Znane jest ogólnie zamiłowanie Pana Prezydenta Rzplitej do sportów wogóle, a do sportu narciarskiego w szczególności. Pobyt dostojnego Gościa w Wiśle łączy się zazwyczaj z wycieczkami narciarskiemi, w które obfitują Beskidy. Jak wieść niesie, w sezonie nadchodzącym pobyt Pana Prezydenta w zameczku w Wiśle potrwać ma dłużej, niż zwykle.

Niewątpliwie zatem miejscowość ta stanie się tej zimy magnesem, przyciągającym liczne rzesze sportowców i turystów, oraz ludzi zmęczonych życiem miejskiem, a spragnionych spokoju i odpoczynku. Beskidy i Wisła nadają się dla nich znakomicie. *E. W.*

STRUMIEŃ W ZIMOWEJ SZACIE

Fot. Malicki



J. K. MACIEJEWSKI

Zima na Huculszczyźnie

Kiedy opuszczaliśmy Warszawę, miasto tonęło w lepkiej mgle, ulice zaś były pełne rzadkiego błota.

Ale Nadwórna powitała nas spowita w gęsty całun śniegu i rozbrzęczana radosnym świergotem janczarów. Sunęliśmy przez miasteczko korowodem sani, a zgóry leciały nowe, nieprzeliczone mirjady białoskrzydłych motyli — ogromnych płatków śnieżnych.

Przyprószeni na biało, zmarznięci cośniecoś, ładowaliśmy się do kolejki leśnej, mającej nas zawieść do Rafajłowej. Nie jest to daleko, gdy się jest odpowiednio ubranym lub przebywa w cieple, ale kilka godzin siedzenia na śniegu i wietrze na odkrytej platformie niejednemu dało się we znaki. No, narciarze, to co innego — naród zahartowany... Wobec tego ślubowaliśmy gremjalnie, że na następny rajd narciarski Szlakiem II Brygady pojedziemy już jako narciarze.

Jakiś malkontent, „opozycjonista" wrzasnął, że to za drogo kosztuje.

Odpowiedzieliśmy mu również krzykiem (był to właściwie krzyk rozpaczy zmarzniętych na kość nóg), że wcale nie za drogo, bo w takim np. Krzemieńcu można dostać wspaniałe buty, narty z okuciami i kijki za 45 zł., a z przesyłką do stolicy za złociszów 49. Coś jeszcze marudził o kostjumie, ale pochłonął nas całkowicie czar zimy, jaki roztoczył się tuż za Nadwórną, na tych samych polach, na których Anno Domini 1914 zmierzyły się pułki II Brygady Legjonów z nawałą moskiewską.

Teren był sfalowany lekko, narazie bezleśny. Śnieg warstwą pół metra grubą zalegał pola i przykrywał wsie. Tu i ówdzie dym łagodną spiralą wzbijał się ku pochmurnemu, nisko nawisłemu niebu. Przez śnieżne pustkowie — niewiadomo dokąd — prowadziły głęboko wdeptane ścieżki. Chłop z koromysłami na ramionach, zakutany w szmaty, jak groteskowa kukła, szedł po wodę do studni, gapiąc się ślamazarnie na nasz przeładowany ludźmi pociąg.

Stopniowo Nadwórna nikła w ośnieżonej dali. Po prawej stronie ukazują się wzgórza, porośnięte przetrzebionym lasem. Wzgórza coraz bardziej rosną, lasu przybywa. Parowozik sapie, wagoniki trzeszczą, a my chłoniemy piękno zimowej, górskiej przyrody, usiłując zachwytem zwalczać realne zimno.

Ale przeżyć oszołomienie czarem gór, zachłysnąć się niem dane nam było dopiero nad wieczorem, gdy siadłszy w sanie, jechaliśmy do gościnnego domostwa państwa Kumalów.

Leśniczówka leży o parę kilometrów za miastem, a my pragnęliśmy całem jestestwem, aby droga wydłużała się w nieskończoność. Po prawej stronie drogi płynęła niewidoczna teraz pod zwałami śniegu rzeka. Nad nią piętrzyły się skały, na skałach czarno - zielona szczeć świerków. Stały nieprzeniknioną, groźną ścianą, tajemnicze, dalekie, poprostu nierzeczywiste.

Wzdłuż drogi biegł parkan z żerdzi. Każda z nich była przysypana grubą, puszystą wypustką śniegu, każdy słupek nosił na sobie wielką, zawiesistą, niby bojar moskiewski, czapę.

Zapadał szybki zmierzch. Na dookolne śniegi kładły się sinawe cienie, grając całą gamą półtonów. Sanie nasze lekko ślizgały się w wyjeżdżonych koleinach, a każdy zjazd w kotlinę, każde wychynięcie na szczyt wzgórza odkrywało przed nami nowe, zaczarowane światy — ze srebra i kryształu.

Okna leśniczówki gorzały już wewnętrznym ogniem, gdy sanie



Kosówka w śniegu. Fot. Wieczorek



Na przełęcz Pantyrską

Słońce próbuje zwalczyć zadymkę i słońce coraz częściej ulega. Na drodze kurzy się, na ogołoconych z drzew zboczach wicher skręca i miecie tumany kłujących, lodowatych igiełek.

U stóp przełęczy jest punkt sanitarny. W zasypanej śniegiem kolibie żołnierze warzą kocioł czarnej, dobrej kawy, którą podają zjeżdżającym w szalonem tempie z góry zawodnikom.

Wynurzają się oni z lasu biali od śniegu, zziajani, przejęci, czerwoni na twarzy, rzucają jakieś pytanie, ten i ów wychłepcze jakiś kubeczek gorącego płynu i mknie dalej w pogoni za rekordem, niewolnicy nowego bóstwa — Sportu.

Droga na przełęcz nie jest stroma, ale podejść tam bez nart nie można w suchej koszuli. Zresztą posuwać się można jedynie wąziutkim szlakiem, przetartym przez narciarzy, i przed każdym ukazującym się zawodnikiem czemprę-

nasze zajechały przed sień i gramoliliśmy się po głębokim śniegu do siedziby serdecznych ludzi z gór.

* * *

Nazajutrz wyjazd saniami pod przełęcz Pantyrską i nowa bajka. Wprawdzie mrozek dość ostry i zadymka tnie w oczy, ale świeżo, ale raźno, ale radośnie!

Jedziemy rozległą doliną Bystrzycy Nadwórniańskiej. Te same mroczne, strzeliste, nieruchome zastępy świerków po lewej stronie, z prawa rzeka, a za nią na pagórkach podobny las, ale daleki, a przez to mniej straszny.



Zjazd z przełęczy. Fot. Maciejewski



Huculi na zawodach narciarskich (na zdjęciu widoczny I wicem. Spr. Wojsk. Gen. Kasprzycki).

dzej uskakiwać w śnieg, zapadając weń po piersi. Na jednvm ze stromych zakrętów nie zdążyliśmy tego uczynić i oto zawodnicy — nie chcąc nas rozjechać — zbaczali ostro, wywracając się do góry nartami tuż nad brzegiem urwistego, porosłego lasem zbocza.

W dzień później jedziemy kuligiem z Worochty do Żabiego. Z pod przełęczy Pantyrskiej przenieśliśmy się w ostępy leśne koło Ardżeludży. Korowód sań pojechał szosą, my zaś skręciliśmy na boczną ledwie przetartą drogę, pogrążając się odrazu w zaczarowane królestwo zimy.

Gnijące od wieków zwalone pnie, sterty gałęzi, mech i cały mikrokosmos leśny przywaliły zaspy śnieżne, po których nieskalanej powłoce zrzadka widoczne są tropy zwierzęce, lub drobny ścieg ptasi. Szalony Prut śpi pod białym pokrowcem, jak śpi cały ten dziki, pierwotny świat.

FRYDERYK ŁĘSKI

ZIEMIA WILEŃSKA

Ziemia wileńska... ziemia przepiękna, pełna niewysłowionego czaru i dziwne do siebie miłowanie budząca...

Najwspanialsze karty historji polskiej nierozerwalnie są z nią związane, dając świadectwo prawdzie odwiecznej, że sercem Polski była, że losy swe nazawsze z Nią skowała, wespół z nią dzieląc dole i niedole, radości i smutki.

Jest w tej ziemi jakaś siła niepojęta, co człowieka wiąże z nią nazawsze, budząc nieodgadnione tęsknoty, wsączając w duszę ludzką czar słowem nieokreślonej miłości, spajającej z nią na wieki całe.

Ma w sobie ziemia wileńska nieogarnioną wielkość majestatu, jakieś dostojne zadumanie, w którem żywioł i wieczność — zda się — są jej symbolami.

Zrodziła ta ziemia legendy rycerskie i stała się kolebką pieśni bohaterów. Najpiękniejsze wiersze najsławniejszych lutnistów Polski pisane były z myślą o niej, bo im dała swą moc i natchnienie.

Ziemia wileńska...

Pisząc o turystyce na Wileńszczyźnie i na Wileńszczyznę, trzeba przedewszystkiem zaznaczyć, że ośrodkiem ruchu turystycznego jest Wilno, miasto, po Krakowie i Lwowie, najpiękniejsze.

Wilno, stolica województwa wileńskiego, centrum kulturalne oraz gospodarcze ziem północno - wschodnich, położone jest w malowniczej dolinie rzeki Wilji, otoczone z trzech stron lesistemi wzgórzami. Już samo położenie tak korzystne Wilna jest pierwszorzędną atrakcją dla turysty i wycieczkowicza.

Nie bez sentymentu mówi się w Polsce o Wilnie ,kolebce romantyzmu polskiego, mieście, które tyle dało ze siebie dla tego, co polskie i co z Polską jest związane. W czasach historycznych, czasu niewoli i w okresie wojny światowej Wilno godnie spełniło swe zadanie—duchowej stolicy i bastjonu polskości.

Kościoły i monumentalne gmachy wileńskie to jakby utrwalona wielka część historji miasta i Polski.

Najwspanialszym gmachem jest uniwersytet z arkadowym dziedzińcem z końca XVI w., a najpiękniejszym kościołem — to, bezwątpienia, kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu (barok z XVII w.), którego wnętrze pokryte jest cennemi rzeźbami artystów włoskich. Jakże pięknemi są kościoły św. Anny i Bernardynów, przytulone do siebie i jakby sławiące talent mistrzów swoich.

Miejscem kultu religijnego całej niemal Polski jest od wieków cudami słynący obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, do którego corocznie zdążają liczne rzesze pielgrzymów nietylko z kraju ale i z zagranicy — Litwy, Łotwy, a nawet z tak odległej Rosji Sowieckiej.

Ileż uroku posiadają małe, stare zaułki wileńskie, zaułki miłe, pozbawione wprawdzie symetrji a jednak tak piękne przez swoją oryginalność.

Jakże ciekawe są dla turysty peregrynacje po malowniczych okolicach podwileńskich!

Wilnianin niechętnie wyjeżdża. Taki Trynopol, Werki, Kalwarja, Troki i największe w Polsce jezioro Narocz doskonale mu zastępują najświetniejsze tereny turystyczne. Dalej, jeśli chodzi o uzdrowiska, to „wileńczuk" ma pod bokiem nieomal perłę ziem północno - wschodnich, Druskieniki, odległe od Wilna o 127 klm., gdzie znajdzie ukojenie i lek na swe dolegliwości czy choroby.

Oczywiście mieszkaniec ziemi wileńskiej nie pogardzi wyjazdem nad morze, do Zakopanego lub Krynicy czy też Worochty. Niestety, ciężki stan materjalny i zataczająca coraz szersze kręgi pauperyzacja społeczeństwa stoi temu na przeszkodzie. Z tych właśnie względów Wileńszczyzna winna być traktowana nieco inaczej, jeśli chodzi o rozbudzenie ruchu turystycznego nazewnątrz. Ziemi tej trzeba dać specjalne ulgi taryfowe, aby w ten sposób — jedynie skuteczny— umożliwić jej mieszkańcom wyjazd do innych dzielnic kraju. A przecież poznanie własnej ojczyzny to jeden z najważniejszych czynników państwowo-wychowawczych.

Wileńszczyzna jest idealnym terenem dla turystyki ze względu na bogactwo krajobrazu i przyrody oraz doskonałe warunki dla sportu wodnego.

Możemy śmiało powiedzieć: przyjedźcie do nas, zobaczcie nasze jeziora: Narocz, Dryświaty, Brasławskie, Trockie i powiedźcie nam, czy nie są one piękne? Zaszyjcie się w gąszcz naszych puszcz, poznajcie historję naszych zamczysk i dworów, zwiedźcie ruiny otoczonego wodami zamku trockiego i zapoznajcie się z jego ponurą przeszłością i zwierzcie nam wówczas swoje wrażenia.

Poeta tej ziemi, Władysław Syrokomla, tak niegdyś pisał o Trokach: „Czemuż też Troki nie leżą kędy w Anglji, Szkocji, Szwajcarji? Tłumy ludu przychodziłyby codzień podziwiać tutaj zapoznane ich piękności; tysiące ich opisów figurowałyby w podróżach i romansach; tysiące ołówków jużby oddało z różnych stron ich fizjonomję; miljony estampów jużby rozniosło po Europie ich sławę, a ta sława nakoniec i do nas by doszła".

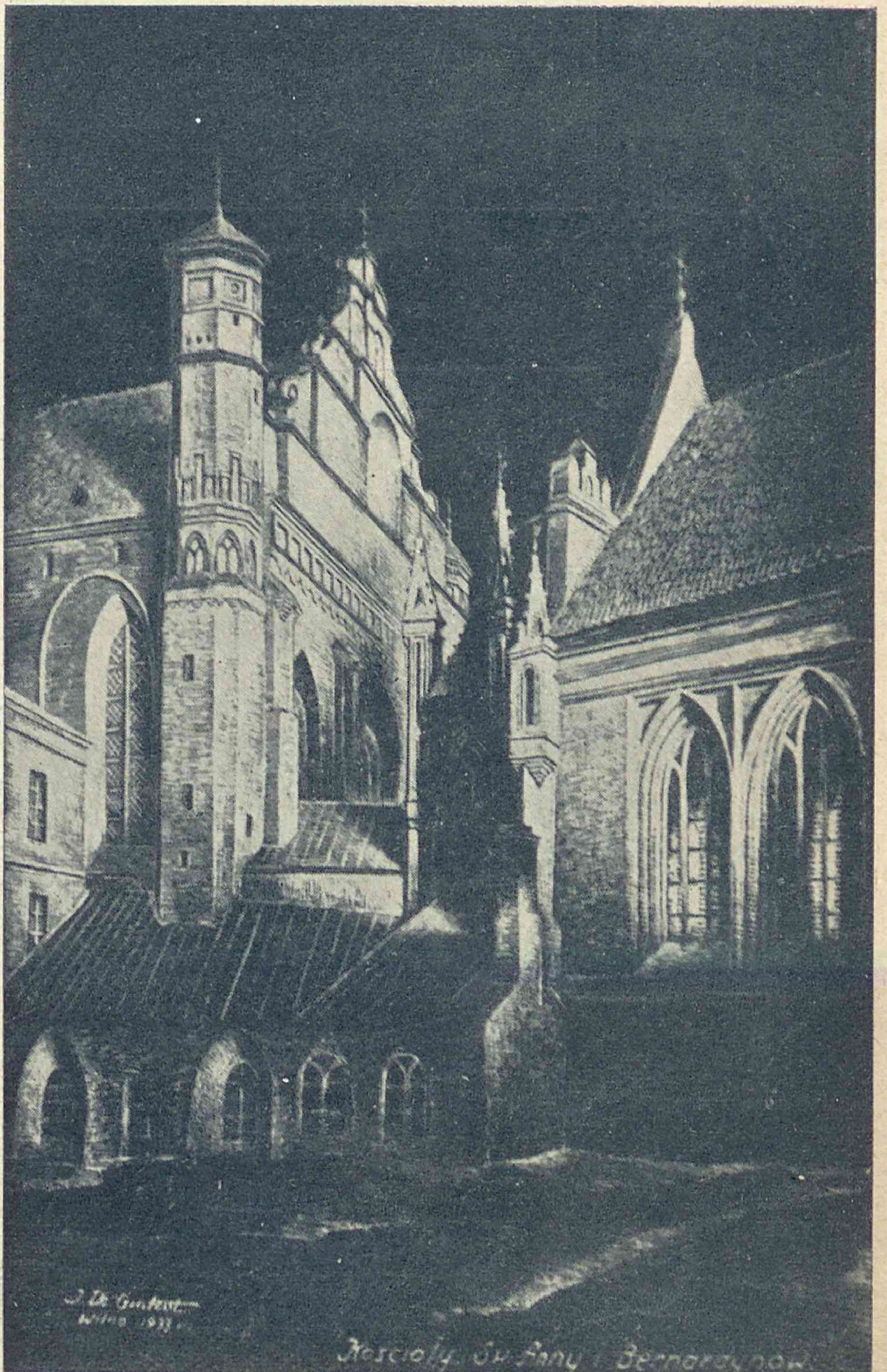
Przyjedźcie do Wilna, do naszego miasta, zobaczcie je, przyjrzyjcie mu się z uwagą, pilnie, posłuchajcie historji tych prastarych murów, pokrytych patyną stuleci i zapewne każdy z was powie, że Wilno pokochał. Jest bowiem w tem mieście jakaś moc uroczna, co do miłowania miasta tego zmusza, nakłania, nagina.



Wilno — dzwonnica kośc. Św. Jerzego.

TUSZORYTY J. GINTOWTTA-DZIEWAŁTOWSKIEGO

Wilno—kościół Św. Anny i Bernardynów





FILM „ZIMA W POLSCE"

Kosztem Ministerstwa Komunikacji został nakręcony i udźwiękowiony krótkometrażowy film pod tytułem „Zima w Polsce", obrazujący poza ogólnemi górskiemi widokami również sporty zimowe.

Film jest wykonany przez Agencję „Anerfilm", udźwiękowiony przez p. Bredschneidra i zaopatrzony napisami w językach: polskim, francuskim, angielskim, niemieckim i holenderskim. Film „Zima w Polsce" został rozesłany zagranicę w celach propagandowych, będzie również wyświetlany w kinach polskich.

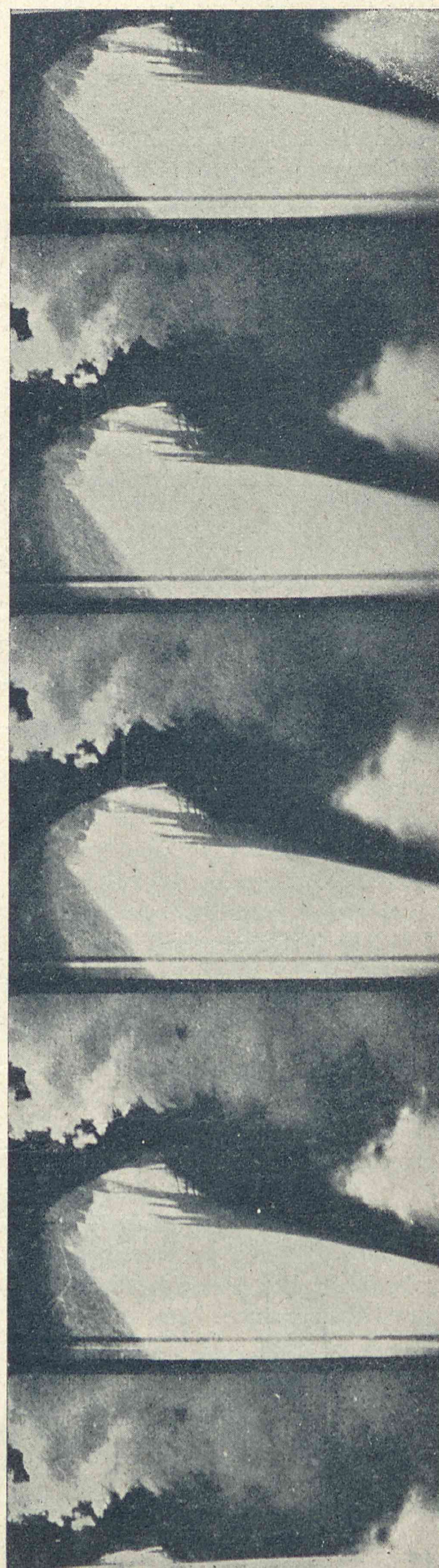
Film cechują bardzo piękne i udatne zdjęcia, dające pojęcie o naszych możliwościach, jako kraju sportów zimowych, oraz malujące wiernie piękno naszego górskiego krajobrazu.

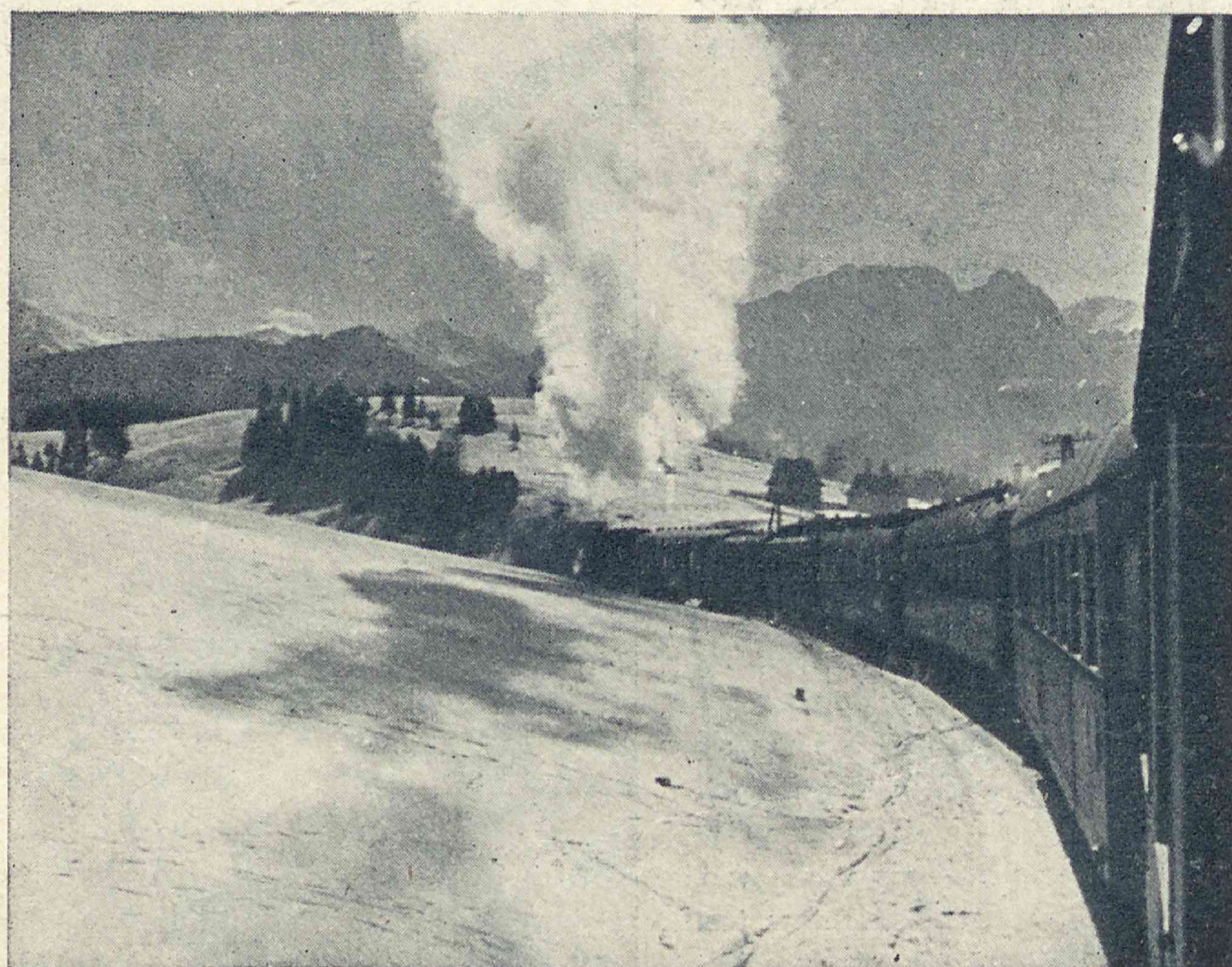




Zdjęcia nasze przedstawiają fragmenty taśmy filmowej z filmu „Zima w Polsce". Na lewo — grupa narciarzy w marszu podczas rajdu P. K. P. — Na dole — pociąg rajdu narciarskiego.







Pociąg narciarski dojeżdża do Zakopanego Photo-Plat

SPORT I MODA



Klasyczny norweski kostjum narciarski

Mody sportowe bywają zwykle dwie.

Jedna polega na sportowem *przebraniu*.

Drugiej trzymają się wiernie sportsmenki *prawdziwe*.

Pierwsza odznacza się nadmiarem fantazji, bujnością pomysłów, niezwykłością kolorów, forsownym „stylem“ z nieprawdziwego zdarzenia — no i zwykle brakiem poczucia tego, czego dany sport wymaga. Więc do kąpieli morskich — kostjumy aksamitne, albo z ptasich piórek, albo dziane z perełek. Są takie, nie przesadzam. W Biarritz i w Ameryce — dla pań, które pokazują swe wdzięki na plaży, ale wody się boją... jak ognia.

Na tennisa, zamiast ogólnie przyjętej „mundurowej“ bieli — taka „oryginalna“ szampionka zamówi sobie suknię... różową, albo koniecznie w kratkę.

Albo żeby być up - to - date — uważa za swój obowiązek grać... w shortach, czyli krótkich majteczkach powyżej kolan. Niesłychane głupstwo i zupełnie zbyteczne szpecenie się! Tennis tego stroju wcale nie wymaga, ruchy przy tym sporcie doskonale tolerują spódniczkę — a śmieszne małpowanie brzydkiej nawet dla mężczyzny mody shortów dowodzi, że kobiety tracą poczucie swych wartości estetycznych. Że można grać wspaniale w sukni kobiecej — tego dowodem nieprześcigniona dotychczas mistrzyni świata, Zuzanna Lenglen, która grała cudownie, a nigdy z siebie pajaca nie zrobiła.

Taka niezupełnie zręczna elegantka do ślizgawki ubierze się w spodnie narciarskie — niby żeby było bardziej „sportowo“ — zaś do nart oszaleje na punkcie barw i pokaże na sobie całą tęczę, nie wyłączając z tych eksperymentów nawet zasadniczych części garderoby, t. j. spodni i kurtki.

Tymczasem kobieta, która sporty uprawia na serjo, dba o wygodę i estetyczny wygląd, ale zna się na istotnym stylu, unika groteskowych wybujałości — i skutkiem tego jej moda sportowa nigdy nie wygląda jak cyrkowe przebranie, choć laik orzeknie zapewne, że *„tamta ubrana jest szykownie, a ta nie“*.

Dwa najpopularniejsze sporty zimowe—narty i łyżwy—mają tak ściśle ustalone kanony stroju, że moda niewiele tu ma do dodania. Pewne drobne zmiany w szczegółach, pewne nowe kombinacje kolorów w przybraniach — ale to wszystko. Linja zasadnicza pozostaje od kilku lat ta sama.



Stylowo ubrana łyżwiarka.

Do ślizgawki krój sukni może być dwojaki. Spódnica ze swetrem, albo całość *„princesse“*.

Oddzielną spódniczkę i do niej dżemperki i sweterki, dobierać należy ze smakiem, aby nie były rażące w kolorze. Spódniczka zawsze kloszowa, bo tego wymaga posuwisty ruch na łyżwach, nadający rozfalowanej sukni płynne, piękne linje. Koloru ściśle obowiązującego niema — istnieje jednak kolor *niedopuszczalny:* t. j. biały. Bo zawsze na lodzie wygląda brudno, bo zawsze pogrubia, no i zawsze przy karambolu i możliwym upadku traci swą niepokalaność i nabiera wyglądu niepożądanego. A wiadomo, że niema nic brzydszego, niż kolor „ciemno - biały“...

Więc najlepiej całość bronzowa, granatowa, szara, a najszlachetniej jak zwykle: czarna. Pewna fantazja w wyborze swetra dopuszczalna, trzeba do niego ściśle dopasować czapeczkę, rękawiczki, szal i pończochy.

Ale jednak najpiękniej, najbardziej stylowo dla dobrych łyżwiarek wygląda ta specjalna suknia na lód, której rodzaj chyba „od zawsze“ jest jednakowy. Stanik obcisły, z czarnego sukna lub czarnego aksamitu, zapinany z przodu lub z tyłu na rząd małych guziczków. Spódniczka ze stanikiem zrośnięta tworzy całość „princesse“,



Bukowina w Tatrach. znakomite tereny narciarskie. Fot. Wieczorek



Na nartach w góry. Photo-Plat

mocno kloszową. Krótka do kolan dla mistrzyń — nieco dłuższa dla patałachów. Biała czapeczka włóczkowa lub futrzana, i takież rękawiczki. Wysokie sznurowane trzewiki. — Tak się ubiera prawdziwa łyżwiarka.

Wprawdzie Sonja Henje, mistrzyni świata, ukazuje się na lodzie w tak skrojonej sukni, ale wykonanej z materji fantazyjnych, np. błękitnego aksamitu, atłasu gris - perle, albo nawet srebrnej lamy. Ale to jest Sonja Henje — czyli genjusz łyżwiarski o ruchach tak szczytnie harmonijnych, o technice tak nieskazitelnej, że najwymyślniejsza elegancja stroju nie zabija, a podkreśla tylko jej wyjątkowe zalety sportsmenki. Przytem Sonja najczęściej produkuje się przy sztucznem świetle, jak baletnica na scenie — a zatem w warunkach, które pozwalają na oryginalność, zawsze zresztą u niej niezmiernie estetyczną.

Narciarki —nawet najwybitniejsze — mniejsze mają pole dla popisów fantazji. Wprawdzie typowe miejskie *„Sonntagsreitery"* lubią oszołomić górv kolorowością swego stroju, ale my o nich mówić nie zamierzamy.

Strój narciarki — to norweski kostjum klasyczny, złożony z długich spodni wpuszczonych w trzewiki, średnio - szerokich, zlekka wyrzuconych. Do tego kurtka na jeden lub dwa rzędy guzików, z paskiem, i sportowym męskim kołnierzem. Całość czarna, z wełny impregnowanej, nieprzemakalnej, jeżeli ma być tip - top. Dopiero po zdjęciu kurtki odsłaniamy barwność swetra, który stanowić musi garnitur z czapeczką, szalem, rękawiczkami i skarpetkami, wywiniętemi na buty. A pod swetrem — jako że wełna drapie — koszula z rękawami, albo bluzka z jedwabnego jersey lub toile de soie, białego. Tak będzie i estetycznie i wygodnie i zupełnie klasycznie. Przy czerni kostjumu barwne akcenty czapeczki, szala i rękawiczek wspaniale grają kolorem na białości śniegu. A choć przysłowie twierdzi, że „od przybytku głowa nie boli" — to przecież od nadmiaru kolorków mogą czasem zaboleć oczy, gdy patrzymy na zbyt fantazyjnie ubraną narciarkę.

Prostota i celowość stroju. Słońce jarzące na niebie. Pod nogami chrupiący śnieg. A w sercu radość życia.

I jazda!

Lustucru.

Z MUZYKI

„Iris" opera w 3-ch aktach
Słowa L. Illica
Muzyka Piotra Mascagni

Mascagni! Któż nie zna jego popularnej opery, zatyt. „Cavalleria Rusticana", zbierającej gromkie oklaski włoskiej publiczności już w r. 1890,a potem — aż po dzień dzisiejszy, publiczności paneuropejskiej, czułej na włoską kantylenę? Inne, wielokrotnie powtarzane przez Mascagni'ego — przed i po wystawieniu „Cavallerii" — próby zdobycia szańców sceny spalały na panewce. Wyjątek stanowią opery: „Maski" i „Iris"— tej ostatniej oddał pokłon w dniu 27 listopada Teatr Wielki.

Nie wdając się w analizę rodzaju tego pokłonu (który mógł być tutaj kornym, grzecznościowym, wyrachowanym etc.) musimy przyznać, że dobrze był obliczony, dobrze obmyślany, zanim został uczyniony. Pani Korolewicz - Waydowa postąpiła bezwątpienia słusznie, przezornie, sięgając po „Iris", więc po operę muzycznie nieskomplikowaną, ale zato taką, która w naszym stanie rzeczy może być, pod względem wykonawczym, ofiarowana słuchaczowi i widzowi ku największemu ich zadowoleniu. Dyrekcja Opery kierowała się mądrą zasadą: „Czem chata bogata ,tem rada". Gospodarza zgóry rozgrzesza się za jego dobre chęci, a gość wypowiada sakramentalne „Bóg zapłać" za dary „z sercem" mu składane.

Strona wykonawcza „Iris" na naszej scenie jest nietylko doskonała, ale wprost imponująca. Tak silne wrażenie wywiera na publiczności, że nawet ci wśród niej, którzy uczęszczają do Opery w poszukiwaniu w dziele reprezentowanem wartości muzycznych o charakterze indywidualnym, górnym, oryginalnym w znaczeniu instrumentacyjnem, harmoniczném i t. p., kapitulowali wobec nadzwyczajnego wysiłku, dokonanego przez wszystkie czynniki, współdziałające w realizacji „Iris".

Najwyższe pochwały należą się przedewszystkiem dyrektorowi Adamowi Dołżyckiemu, który całość przedstawienia wyprowadził na przestrzenne, z maksymalną sumiennością, drobiazgowością i subtelną wnikliwością spenetrowane przez siebie drogi i dróżki partytury Mascagni'ego, niejednokrotnie otoczone z woli kompozytora atmosferą wzlotów poetyckich.



Dyr. Adam Dołżycki

Autor szczodrze obdziela głównych bohaterów „Iris" — daje im możność pełnego rozśpiewania się, a w szczególności faworyzuje postać naczelną.

„Iris" to smutna opowieść - bajka o młodej japoneczce. Otóż mieszka sobie skośnooka panienka ze swym niewidomym ojcem w „maleńkim domku, otoczonym pięknym ogródkiem" („nad brzegami strumyka"), skąd widać „świętą górę" Fudżi - Yama. Panienka żyje sobie skromnie i bogobojnie; „kocha swoje kwiaty, laleczki" i t. d. Nagle, pewnego dnia, zjawia się zasobny młodzian — Osaka, a ponieważ panienka jest (naturalnie) cudem piękności, pragnie on Iris (tak się zwie czarodziejka) posiąść. Ale rzecz to niełatwa. Cała trudność—jak powiada libretto—polega na tem, że panna Iris nigdy nie opuszcza swego ogródka. Panicz jednak w ciemię nie bity: porozumiewa się z arcyspryciarzem w sprawach miłosnych, niejakim panem Kyoto, który wykombinował, że trzeba sprowadzić przed domek Iris... teatrzyk marjonetek (Iris „kocha laleczki"!), przedstawić sztukę, którejby treść panienkę do głębi wzruszyła i... wyprowadziła z granic jej państwa—ogródka (może ten ogródek to symbol: odgrodzenie niewiniątka od pokus świata?). I stało się tak, jak przewidział „kuty na cztery nogi" pan Kyoto. Panienka wpada w zasadzkę: wabi ją postać „złocistego syna słońca, Yor'a, występującego w obronie dziewczyny, „sprzedawanej" przez jej „okrutnego" ojca (wszystko dzieje się w szopce Kyoto-Osaka) i kiedy wreszcie odbywa się (już nie w szopce, a na scenie) taniec „trzech masek" — „Piękności", „Śmierci", „Wampira" (w zawadjackiej interpretacji Lody Halamy), Iris, jakby uroczona, wychodzi z ogródka, całe bractwo „aktorów", w sprawy szopki wmieszanych, porywa ją i ze sceny szybko ucieka.

Niewidomy ojciec jest oczywiście w rozpaczy, bo nietylko nie może dowołać się swej Iris, ale w dodatku dają mu (akurat „przechodzący do miasta handlarze") list i sakiewkę z pieniędzmi (pozostawione przez Kyoto'a). Ojciec idzie do miasta (z „handlarzami"), aby odnaleźć Iris i... okropieństwo: „rzucić jej w twarz garść błota", bo myśli, że córeczka uciekła i sakieweczkę na otarcie łez mu zostawiła.



Zofja Żmigród - Fedyczkowska w partji tytułowej op. „Iris"

Dalsze sprawy toczą się w domu Kyoto'a. Iris nie ma pojęcia, skąd się tam wzięła. Zjawiającego się Osakę bierze za wspomnianego wyżej Yor'a. Namiętny młodzieniec (Osaka), kiedy nawet całkiem ludzkie jego pocałunki i uściski nie wywierają pożądanego efektu na pannie Iris, macha wreszcie ręką na całą sprawę i... scenę opuszcza. Ale Kyoto postanawia Iris „spieniężyć". „Wystawia ją na licytację". Z tłumu wychodzi Osaka i ponieważ „zrozumiał, że uczucie jego dla Iris przemieniło się w prawdziwą miłość", pragnie dać Kyocie każdą cenę za panienkę japońską, aż tu nagle zjawia się jej ojciec, wali w oczy Iris niby to „błoto", co się okazuje zupełnie fatalne w skutkach, bo Iris „skacze bez namysłu" w jakiś otwór, prowadzący (jak objaśnia libretto) do przepaści, w którą strąca Kyoto „nieposłuszne dziewczęta".

A potem to już tylko dno tej przepaści (akt 3-ci) z umierającą Iris, nad którą wreszcie „ulitowały się irysy i zakwitły wokół niej, osłaniając jej ciało i unosząc do Nirwany" — jak w dalszym ciągu głosi tekst librettowy.

Piękne — niepiękne to wszystko, mądre — niemądre, ale czyż to najważniejsze w operze? Grunt, że Mascagni ukochał sobie postać Iris i otworzył przed nią — jak to już było wspomniane — specjalnie rozległe pole do rozśpiewania się.

Pani Zofja Żmigród Fedyczkowska nietylko skorzystała z tego przywileju, ale tchnęła w postać Iris taką moc życia scenicznego, przelała w nią tyle uczucia i tchnęła w nią tyle energji, nagromadzonej w swem sercu artystycznem, że Iris p. Fedyczkowskiej stała się majstersztykiem aktorskim. Nowowystawioną operę Mascagni'ego należy zobaczyć, chociażby dla sztuki p. Fedyczkowskiej. I pod względem głosowym osiągnęła ta artystka na premjerze wielki sukces.

W rolach Osaki i Kyota'a występowali pp.: Ladis i Czaplicki — realizowali je pod każdym względem nadzwyczaj szczęśliwie. Doskonale wywiązali się ze swego zadania Roman Wraga (rola ojca) i Lucyna Szczepańska (partja gejszy). W epizodycznej roli gałganiarza ładnie śpiewał p. Tysiak.

Doskonały efekt muzyczny stanowi „Hymn do słońca" przy udziale chóru wykonany (na początku opery i na jej zakończenie). Dyr. Dołżycki umieścił grupy śpiewaków w kilku punktach widowni (nad lożami) — pomysł b. dobry, dla publiczności niezmiernie pociągający.

Reżyserja Karola Bendy gruntownie obmyślana. Dekoracje i kostjumy projekt. Józef Wodyński — dużo dał dobrych pomysłów, pociągnięć harmonijnych. Pierwszy akt, najtrudniejszy — mam wrażenie — dla realizacji dekoratorskiej, wypadł b. pomyślnie.

Na „Iris" powinno się pójść — z różnych powodów, a między innemi i dlatego, aby dać wyraz zainteresowań i szacunku dla nieprzeciętnego wysiłku kierowniczych osobistości naszej Opery, które przecież robią wszystko, co tylko można, celem jej utrzymania i stopniowego jej wyniesienia na właściwy poziom artystyczny.



Duńska pianistka France Ellegaard

Występy France Ellegaard w Sali Konserwatorjum.

Dwukrotnie wystąpiła u nas młodziutka pianistka duńska, p. France Ellegaard. Jej wyjątkowy talent zasługuje na specjalną uwagę. Ta wychowanica paryskiej szkoły wirtuozowskiej olśniewa słuchacza precyzją rytmiczną, subtelnością tonu, mistrzowskiem opanowaniem technicznem, pięknem wykończeniem rysunku frazy. Palcowa technika p. Ellegaard jest zdumiewająca. Wykonanie niektórych utworów, jak np. Scarlatti'ego, zadowolić musi najwybredniejsze wymagania miłośników sztuki pianistycznej.

P. Ellegaard wystąpi z trzecim recitalem w dniu 11 grudnia.

Koncert muzyki belgijskiej.

W Instytucie propagandy sztuki odbył się w niedzielę (z okazji zamknięcia wystawy „Sto lat sztuki belgijskiej") wieczór muzyki belgijskiej. Patronat nad koncertem objęli: wicehrabia Jacques Davignon, poseł Belgji, oraz słynna „Fundacja muzyczna królowej Elżbiety". W programie figurowały utwory: J. Jongena, Grétry'ego, Aug. de Boeck'a, Fr. Rasse'a, Wilh. Lekeu'a i C. Francka — przedstawicieli muzycznej twórczości belgijskiej rozmaitych kierunków. Z sukcesem artystycznym brali udział w koncercie pp.: St. Argasińska-Choynowska, Miecz. Szaleski (altówka), Ign. Rosenbaum (fortep.), oraz „Warsz. kwartet muzyczny".

Koncert poprzedziło słowo wstępne p. red. Mateusza Glińskiego o muzyce belgijskiej, o której obszernie pisaliśmy w n. 46 „Świata".

L. Binental.

„Poezja" sprawozdawcy muzycznego

Piękny wzór tego, jak się to robi (zamieszczony w jednem z pism prowincjonalnych) — podajemy poniżej.

„Przychodzi kolej na skrzypaczkę. Na estradzie staje pani... jak wysmukły, biały posąg w ciemnej koronie. Prawą rękę wsparła na smyczku, jak na mieczu bogini sprawiedliwości, a lewą trzyma instrument swej mowy. Z boku dochodzą dźwięki tła fortepianowego. Nagle błyskawiczne spojrzenie pobiegło gdzieś w zaświaty, aby zaczerpnąć natchnienia u źródła piękna, przebiegło po widzach od galerji przez loże do krzeseł, prawa ręka zatoczyła zręcznie łuk, mignął smyczek, jak ostrze szpady, i tak zaczął się „Koncert d-moll" H. Wieniawskiego.

I jak górskie potoki, wyzwolone ze śnieżnych szczytów, potoczyły się te drobniutkie nutki, wyrzeźbione niewidzialnym prawie ruchem ręki, to popłynęły wielkie tony, stworzone szerokiem pociągnięciem smyczka, i płynęły pojedyńczo, grupkami jedne za drugiemi to spokojne, to skłócone, wylewały się rozpętane niskie głosy, groźne pomrukiem gniewu, buntu, to błyskawiczny ruch ręki ściągał z wyżyn jakieś bezbronne kwilenia, aż wszystkie uzgodnione związały się w szeroką melodję i płynęły po duszach słuchaczy w nieznane światy, nieznane krainy.

Nagły ruch głowy, pochylenie postaci artystki, ściągnięcie brwi, błogi wyraz twarzy — to dowody, że gra to nie szereg pustych dźwięków, ale rzeczywiste siły, walczące w naturze ludzkiej, które twórcy i odtwórcy najpierw sami przeżyć musieli, nim mogli niemi obdarować słuchaczy....

Nie należy też zapominać o akompanjatorze, panu... Twórca wyznacza akompanjatorowi pozornie drugorzędną rolę; tembardziej jest ona trudna do wykonania, aby nie wpaść w przesadę.

Tylko przed rozpoczęciem, tylko w chwili, kiedy twórca wyznaczy soliście odpoczynek, akompanjator podchwytuje główne motywy z partji solisty, które, jak dalekie echo, prowadzą słuchacza do lepszego zrozumienia i wyczucia głównej myśli i treści utworu. Taką rolę p....... spełnił należycie".

TYDZIEŃ „ŚWIATA"

Rozmowy z Hitlerem

(ch) Najdrastyczniejszym objawem polityki francuskiej w ciągu ostatnich dni była wizyta posła Goy'a w Berlinie i rozmowa jego z Hitlerem. Zaproszony przez jednego z przebywających w Paryżu propagandystów Hitlera poseł Goy'a odbył z nim dłuższą rozmowę. Podróż ta wywołała liczne dyskusje, polemiki, krytyki. Postawiła ona również na porządku dziennym zagadnienie: „Czy możemy się dogadać z Niemcami".

Ten znak zapytania, jak wieczna krzyżówka francusko - niemiecka, jest rozpatrywany w redakcjach i kołach paryskich.

Można więc powiedzieć, iż Hitler osiągnął swój cel. Wznowił we Francji dyskusję na temat porozumienia z Niemcami. W tej sprawie Francuzi z prawa i z lewa rozpoczęli spór między sobą. Rezultat więc już jest.

Gdy sprawa Saary zostanie uregulowana — mówił Hitler — nic już nie dzieli Francji i Niemiec! Na razie natomiast podzielił Francję na dwa obozy i to wówczas, gdy porozumienie z Włochami jeszcze nie zostało zrealizowane.

Opinja francuska dzieli się obecnie według dwuch kryterjów: jedni chcą sądzić Hitlera według deklaracji i słów, drudzy — według czynów!

Ci drudzy mają rolę mniej wdzięczną. Muszą dowodzić, że Hitlera nie udobrucha się rozbrajaniem Francji, muszą dowodzić w okresie kryzysu i bezrobocia, że trzeba wydawać na kule i armaty, muszą miodopłynne obietnice Hitlera demaskować, nazywając obłudą.

Mają jednak wielki argument, trafiający coraz dobitniej do uszu — człowieka z ulicy. „Jeśli Niemcy Hitlera pragną pokoju, pokoju i jeszcze raz pokoju — to poco pokojowym słowom i komunikatom towarzyszy wzmożone zbrojenie?

Po co Niemcy zbroją się tak, *aby mieć militarną przewagę* nad swymi sąsiadami?

Skoro nie chcą wojny — poco chcą przewagi?

Takie pytania stawia trzeźwa logika. Ale iluż jeszcze pozostało w tym trzeźwym narodzie francuskim iluzjonistów ze szkoły Brianda.

Jedno ze źródeł biedy

(jj) W chórze rozgoryczonych słychać jeden z głosów najdonośniejszych: głos lekarza. Coraz mu gorzej. Popada w biedę. Przeklina kryzys.

Na jednego lekarza przypada w Polsce przeciętnie 3.300 mieszkańców, t. j. cztery razy tyle, co w Stanach Zjedn. Am. Półn. i w Wielkiej Brytanji, trzy razy tyle, co w Austrji, Szwajcarji, Norwegji, Węgrzech, dwa razy tyle, co w Niemczech, Francji, Belgji.

A teraz nasze „rozmieszczenie" lekarzy: w Warszawie jeden lekarz na 504 mieszkańców, w Krakowie jeden na 332, w Wilnie na 507, w Poznaniu na 640, w Łodzi na 1.128.

Znakomita większość powiatów ma jednego lekarza na 3,5 do 4 tysięcy mieszkańców, w niektórych na kilka i kilkanaście tysięcy ludności (w powiecie stolińskim 1 lekarz na 20.000 mieszkańców!).

Najjaskrawszy przykład: w Częstochowie 1 lekarz na 1.570 mieszkańców, a w całym powiecie częstochowskim 1 lekarz na 16.500 mieszkańców!

W rezultacie: 70% ludności prowincjonalnej pozostaje bez żadnej opieki lekarskiej.

Więc nietylko kryzys. Złe, fatalne rozmieszczenie sił lekarskich.

Mohikanin wolności

(jj) Jeden z przywódców powstania w Katalonji, komendant Perez - Farras, skazany na śmierć, napisał w więzieniu na skrawku papieru:

„Nie jestem bynajmniej tylko synem i wnukiem katalońskich republikanów. Sięgam dalej, niż oni. Biłem się za Katalonję, bo jest mniejsza od Hiszpanji. Jeszcze zaciekle biłbym się w obronie wolności prowincji Lerida, skąd pochodzę, a najgoręcej byłbym bronił niezależności mej wioski. Mówiąc prawdę, chciałbym umrzeć nie za Katalonję, ale za to, żeby mój dom był ostatniem wolnem królestwem"...

Jeszcze się, mimo wszystko, słowa takie rozlegają w naszych czasach...

Briand i Berthelot

(x) Zmarły w ostatnich dniach, były sekretarz generalny francuskiego ministerjum spraw zagranicznych, Filip Berthelot, był jednym z najbliższych współpracowników Brianda. Współpraca tych obu polityków była tak ścisła, że nawet ostatnio we wspomnieniach pośmiertnych jeden z prawicowych tygodników użył zwrotu: „Berthelot przez długie lata kierował polityką zagraniczną Francji pod pseudonimem... Arystydesa Brianda".

Briand niezwykle cenił doświadczenie i pomoc Berthelot'a. Kiedy podczas bankructwa i niedokładności banku, w którym dyrektorem był brat Berthelot'a i on został również gwałtownie zaatakowany w parlamencie, Berthelot, aby ułatwić pozycję Briandowi, zgłosił swą dymisję. Briand prośbę tę odrzucił.

Trzy razy Berthelot zgłaszał dymisję — trzy razy Briand ją odrzucał.

Ostatnim razem Briand mu oświadczył: „jeśli mamy odejść, to odejdziemy razem. Tekę ministra odzyskuje się, ale takiego współpracownika, jak pan, rzadko się znajduje i z nim się nie rozstaje".

* * *

Kiedy Briand przepadł przy wyborach na prezydenta Republiki, Berthelot jako pociechę rzucił mu krótkie zdanie: „gdyby głosy kładziono na wagę, byłby pan wybrany. Niestety, są one tylko liczone".

* * *

Pewnego dnia na Quai d'Orsay przybyła delegacja dostojników z kolonji. Briand przyjmował ich w towarzystwie Berthelot'a. Wprowadzający „kolonjalistów" „ich poseł" rozpoczął, i nie mógł jej skończyć, długą i skomplikowaną tyradę. Podczas tej oracji Briand nieznacznie „przytknął" głowę do oparcia fotela i zaczął drzemać.

Berthelot wystraszony zaczął pod stołem alarmująco dawać mu sygnały nogą. Wówczas Briand dobrotliwie pochylił się ku Berthelot'owi i tajemniczo mu szepnął: „ja nie śpię — ja się skupiam".

„Budujemy mosty dla pana starosty"

(l) Reperacja szos w Polsce jest rzeczą chwalebną.

Z radością konstatujemy, iż w ostatnich czasach wiele się w tym względzie poprawiło. Przybywają nowe kilometry dróg asfaltowych

kostki, lepszej nawierzchni, reperuje się intensywnie najbardziej skandaliczne wądoły szosy.

Niedość jest jednak dobrze robić. *Trzeba również w porę robić!*

Trzeba mieć perspektywę całości inwestycyjnej.

Po wielu latach zapomnienia i zaniedbania przypomniano sobie podwarszawski prawy brzeg Wisły. Skandaliczny odcinek szosy tuż za Wawrem, *na 9-ym kilometrze od Warszawy!* Odcinek, gdzie automobiliści uciekali z szosy na zwykłą niebrukowaną drogę, zaczęto naprawiać. Reperuje się starannie, solidnie na przestrzeni prawie 7 kilometrów. Czyn dodatni, który nareszcie da tej zapomnianej okolicy jaką taką komunikację. Ale kiedy zaczyna się i prowadzi intensywnie te roboty? Koniec września, październik, listopad — oto okres najintensywniejszej pracy. Dzięki lekkiej i ładnej jesieni, udaje się ta praca. Ale czy to jest okres do rozpoczynania robót drogowych w naszym klimacie na tak ruchliwej arterji komunikacyjnej? W okresie wytężonych dostaw jesiennych do miasta z dwuch wielkich szos: lubelskiej i brzeskiej cały ruch przerzuca się na szosę przez Rembertów! Każe się wszystkim nadkładać około 10-ciu kilometrów. Szosa w lasach wawerskich i droga boczna obok niej po paru dniach deszczu stają się roztopiskiem, gdzie toną auta, które nieopacznie zaawanturowały się w tę stronę. Wozy chłopskie przejechać nie mogą. A wszystko dlatego, że zamiast prowadzić roboty w lecie, gdy boczne drogi są suchsze, gdy ruch furmanek jest mniejszy, niż na jesieni— wzięto się do tej jednej z najważniejszych szos podwarszawskich dopiero na jesieni.

Olbrzymi ruch, który przerzucono na szosę rembertowską, osiągnął również inny skutek — szosę tą rozharatano dokładnie. A ruch jest na niej w dnie targowe tak puszczony samopas, iż tworzą się z wozów kilometrowe zatory. Odczuli to na swej skórze dygnitarze państwowi, którzy tę zawrotną przestrzeń objazdowych dziesięciu kilometrów przebywali od 11-ej w nocy do 6-ej rano, gdy raz uwięźli wśród szeregów wozów, tworzących zrośnięty, znakomity tabor— jak za czasów najazdów tatarskich.

W tym czasie gdzieindziej przebywa się przestrzeń kilkuset kilometrów!

A skoro mróz przerwie roboty drogowe — kończyć się je będzie zapewne znowu w czasie wiosennych roztopów.

Kółko istotnie robi się kwadratowe—budując jedną szosę, niszczy się drugą. Budując w najbardziej deszczowej porze roku —dla udoskonalenia komunikacji, odcina się okolicę na szereg miesięcy od poprawnego dostępu do stolicy.

Coś się z czemś nie zgadza...

(jj) Podczas wielkiej debaty o zbrojeniach niemieckich w angielskiej Izbie Gmin, poseł konserwatywny Churchill rzekł: „Tydzień lub 10 dni wystarczy, by zabić w Londynie 30 do 40.000 ludzi. W krótkim czasie 3 czy 4 miljony osób uciekłoby z Londynu. Rozwój floty powietrznej Niemiec odbywa się w takiem tempie, że w r. 1936 prześcignie flotę angielską o 10%, a w latach następnych może o 100%.

Na tem samem posiedzeniu (dn. 28 ub. m.) podsekretarz stanu, Eden, zakomunikował Izbie Gmin, że w ciągu 10 miesięcy r.b. Anglja dostarczyła Niemcom 98 motorów aeroplanowych.

Coś się tu z czemś nie zgadza... Ale taka jest właśnie „logika" politycznego świata naszych czasów, że ciągle, nieustannie coś się z czemś nie zgadza.

Cokolwiekby zresztą powiedziano w Izbie Gmin dnia 28 ub. m., nie miałoby to dla społeczeństwa angielskiego żadnego znaczenia, ponieważ nazajutrz odbywały się uroczystości ślubne ks. Kentu z księżniczką Maryną, a ta sensacja pochłonęła wszystkie inne.

Sprawa się komplikuje

(jj) Wydalanie robotników cudzoziemskich z Francji nie zachwyciło całej opinji społeczeństwa francuskiego. W prasie paryskiej — coraz więcej zastrzeżeń, nawet protestów. Nie płyną one bynajmniej z pobudek humanitarnych. Robotnik cudzoziemski nietylko pracuje, ale również... je, mieszka, kupuje, płaci, czyli — jest konsumentem.

Burmistrz miasta St. Denis, p. Doriot, oświadcza:

„Rozstrzyganie sprawy bezrobocia drogą drakońskich zarządzeń w stosunku do robotników obcych nie da rezultatów i jest z gruntu fałszywe. Miasto St. Denis liczy 12.000 cudzoziemców. Jeżeli rząd wydali ich z Francji, handel w tem mieście upadnie całkowicie".

Podobnie rzecz się ma w dziesiątkach miejscowości francuskich.

A na miejsce wydalonych nie przybędzie natychmiast robotnik francuski, który nie lubi opuszczać miejsca „stałego zamieszkania"...

Wycieczka świąteczna na Semmering i do Wiednia

ORBIS organizuje tanią i b. interesującą wycieczkę zimową na Semmering i do Wiednia w czasie tegorocznych feryj Bożego Narodzenia, t. j. od 23/XII.1934 do 3/I. 1935.

Doskonale ułożony program wycieczki umożliwi jej uczestnikom miłe spędzenie czasu świątecznego, zapewni należyty odpoczynek, a narciarzom da możność korzystania z ulubionego ich sportu w doskonałych terenach narciarskich Semmeringu.

Uczestnicy wycieczki będą też mieli możność wzięcia udziału w niezwykle wesoło w Wiedniu obchodzonym wieczorze Sylwestrowym bieżącego roku.

Wycieczka wyruszy z Katowic 23/XII 1934 o godz. 22.14, do Wiednia przybędzie 24/XII.34 o godz. 6.30, poczem bezpośrednio o godz. 7.50 wyjedzie do Semmering, dokąd przybędzie tegoż dnia o godz. 10.04 przed południ. Na Semmeringu spędzą uczestnicy wycieczki 7 dni, t.j. do 30/XII.34, w którym to dniu o godz. 15.17 wyjadą do Wiednia, gdzie staną tegoż dnia o godz. 17.15.

W Wiedniu wycieczka spędzi czas do 2/I 1935, którego to dnia wieczorem wyjedzie wycieczka z powrotem do Katowic, gdzie stanie 3/I.35 o 7.54 rano.

Koszt udziału w wycieczce został ustalony jak najniżej, a wynosi on zł. 369 od osoby. Kwotą tą objęte są: koszt paszportu i wiz, biletu kolejowego III kl. Katowice — Semmering i z powrotem oraz koszta mieszkania i całkowitego doskonałego utrzymania en pension na Semmeringu i w Wiedniu.

Zgłoszenia udziału w wycieczce przyjmują wszystkie placówki ORBISU do 7/XII.1934. Przy zgłoszeniu należy złożyć następujące dokumenty: dowód osobisty z poświadczeniem obywatelstwa polskiego, zaświadczenie zamieszkania, zezwolenie właściwego Starostwa na wyjazd zagranicę, dokumenty wojskowe i 2 fotografje typu paszportowego. Przy zapisie należy wpłacić zadatek w kwocie 150 zł., resztę zaś do 15/XII. 1934 r. Ilość uczestników wycieczki jest ograniczoną, dlatego zgłoszenia uczestnictwa w niej winny następować jak najrychlej.

Wieczór Besedy

W lokalu Czechosłowackiego Biura Informacyjnego, odbył się w ubiegłą sobotę wieczór, poświęcony pamięci działalności p. Prof. Kurnatowskiego, znanego działacza na polu zbliżenia polsko - czechosłowackiego.

Zebranie, na którem była licznie zgromadzona Polonja czechosłowacka na czele z p. ministrem Dr. Girsą, zagaił p. dr. Józef Waldemüller, Prezes Besedy. Interesująco i artystycznie wypadła część wokalna wieczoru.

JUBILEUSZ NAUKOWY PANA PREZYDENTA

W styczniu r. 1904 ukazała się praca p. t. „Badania nad wytrzymałością dielektryków". Nikt nie przypuszczał, że jej autor, Ignacy Mościcki, stanie się wybitnym uczonym i prezydentem Niepodległej Polski.

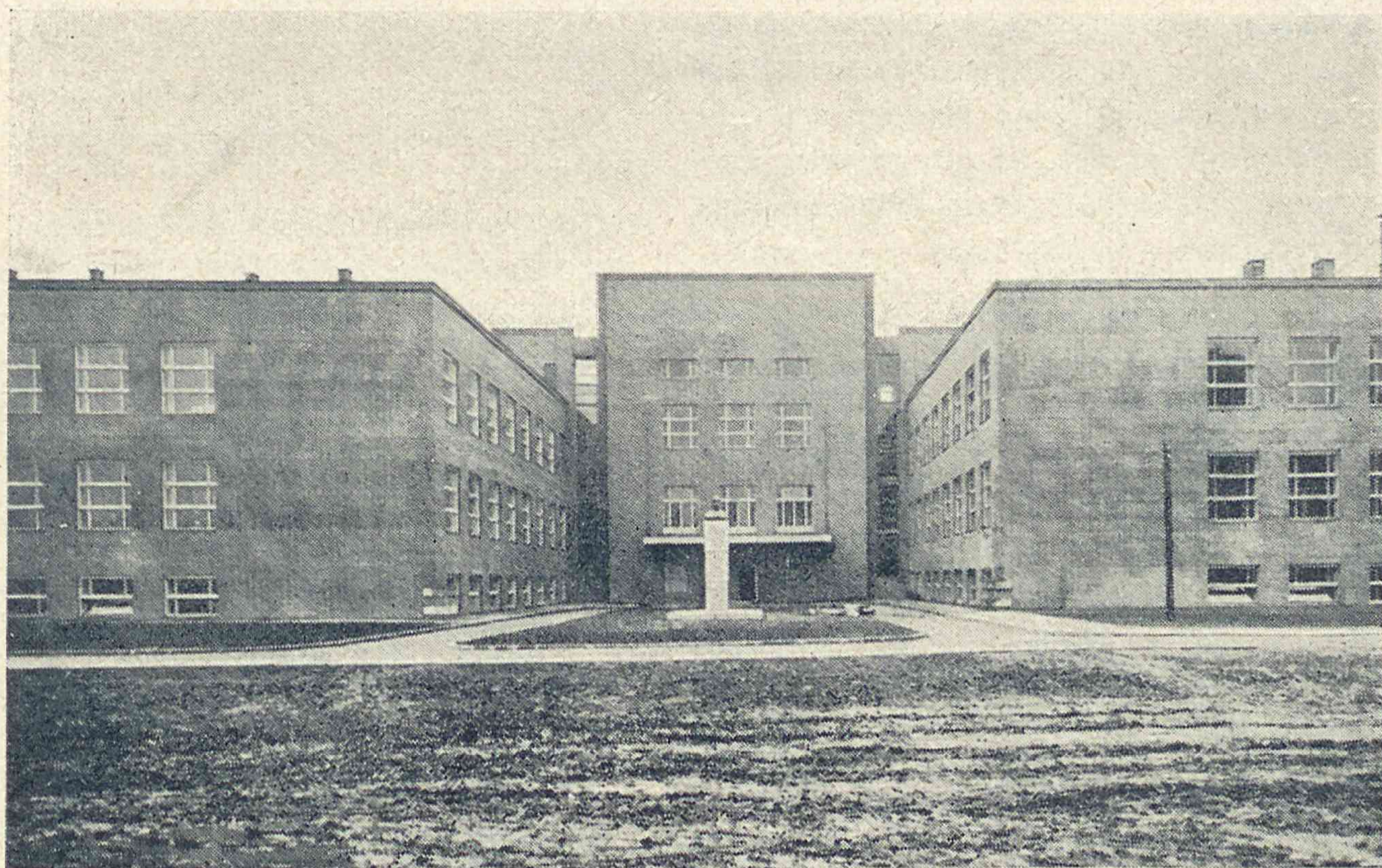
Politechnika warszawska, pragnąc uczcić 30-lecie pracy naukowej swego Dostojnego Kolegi, organizuje w dniu 7 b. m. uroczysty obchód, którego kulminacyjnym punktem będzie poświęcenie dwóch nowych gmachów, wzniesionych przy ul. Topolowej — „Pawilonu Technologji chemicznej" oraz „Pawilonu elektrotechniki". Ogromny rozwój po wojnie przemysłu chemicznego wywołał konieczność stworzenia nowych gmachów. Palące to zagadnienie powierzono do realizacji towarzystwu „Studjum Technologiczne", będącemu organizacją o charakterze społecznym, rządzącą się własnym statutem. Dzięki poparciu zainteresowanych ministerstw, przystąpiono w r. 1930 do budowy gmachów, które są już niemal ukończone, kosztem około 3.000.000 zł. Budynki przedstawiają się imponująco, posiadając ogólną kubaturę 74 000 m³ i mieszczą szereg niezbędnych zakładów, oraz pracowni, częściowo już oddanych do użytku słuchaczów politechniki.

W gmachu Technologji chemicznej uruchomiono już „Zakład Metalurgji i Metaloznawstwa", wyposażony w najnowsze aparatury badawcze i świetne pracownie. Dziedzina ta specjalnie interesuje obronę kraju. Dalej „Zakład Technologji materjałów wybuchowych", jedyny tego rodzaju w Polsce. Wreszcie „Zakład Technologji Ogólnej i Nieorganicznej", obejmujący badania podstawowych surowców w przemyśle chemicznym. Niezadługo uruchomione zostaną: „Zakład Technologji fermentacji produktów spożywczych" i „Zakład wielkiego przemysłu organicznego i farbierstwa".

W pawilonie elektrotechniki czynne są: „Zakład miernictwa elektrycznego i wysokich napięć", w którym specjalnie uwzględniony jest kurs elektrotechniki wojskowej. Bardzo ważną placówką jest „Zakład radjotechniki", służący do potrzeb telekomunikacji. Niebawem otwarte zostaną zakłady: teletechniki, urządzeń elektrycznych, elektrotechniki ogólnej i kreślarnie.



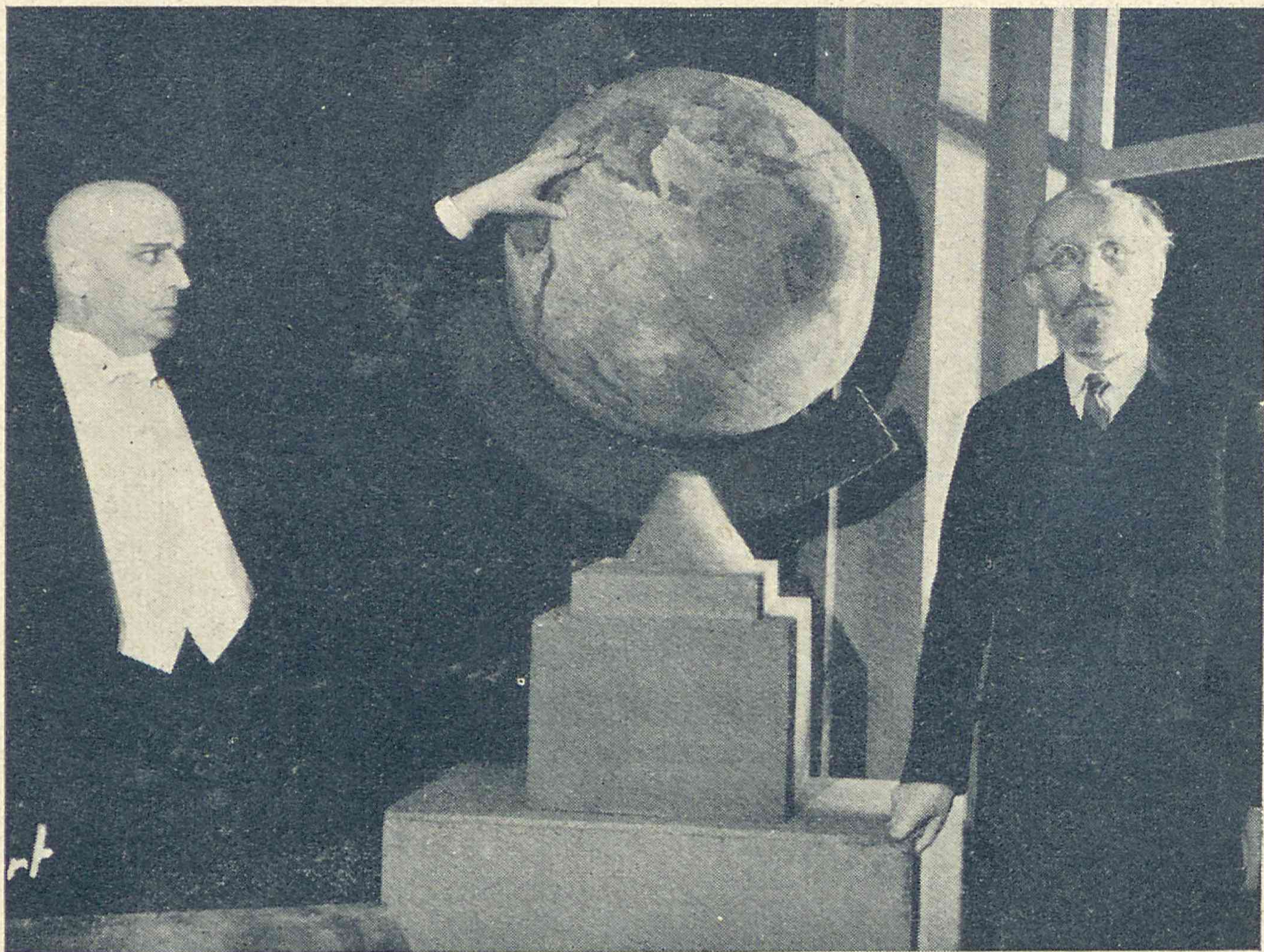
Posiedzenie Kuratorjum Chemicznego Instytutu Badawczego z udziałem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.



Nowy gmach Technologji Chemicznej, wybudowany przez T-wo „Studjum Technologiczne" dla Politechniki Warszawskiej.

Nauka polska otrzymuje wspaniałe placówki, a ich realizacja jest najpiękniejszą formą hołdu, jaki można złożyć P. Prezydentowi, w dniu Jego trzydziestolecia. Że dzieło doszło do skutku niemała w tem zasługa zarządu towarzystwa, w skład którego wchodzą obecnie rektor E. Warchałowski, prof. Drewnowski, prof. W. Iwanowski i inż. Wojcieszak.

ŚWIAT TEATRU



Adwentowicz i Zawieyski w sztuce „Dyktator On"

TEATR KAMERALNY

„DYKTATOR ON", sztuka Jerzego Zawieyskiego. Reżyserja Bujańskiego. Dekoracje Golusa.

Jerzy Zawieyski już w dwóch swoich powieściach „Gdzie jesteś przyjacielu" i „Daleko do rana" usiłował znaleźć odpowiedź na nurtujące go zagadnienie konfliktu człowieczeństwa ze współczesną rzeczywistością. Obecnie pokusił się rozpatrzyć problem ten w oświetleniu scenicznem, w konstrukcji będącej mieszaniną realizmu i symbolizmu.

Samo założenie akcji cechuje typowa mgławicowość. Sztuka ta dzieje się nigdzie, a raczej dziać się może w każdem państwie, które uważa dyktaturę, jako niezawodną drogę do wyprowadzenia ludzkości z powojennego chaosu. Znajdują się w niej i odblaski hitleryzmu i echa włoskiego faszyzmu i wreszcie czysto rodzime akcenty. Zarówno jednak niedostateczna dojrzałość przemyśleń, zbyt świeże podejście do aktualnych kształtowań się form, a przedewszystkiem zbyt małe doświadczenie w operowaniu techniką sceniczną nadały skądinąd zresztą ciekawej sztuce Zawieyskiego charakter niejednolity, rzec można, mgławicowy.

Prawo człowieka, jako antidotum dyktaturze i standaryzacji masy, jest problemem niesłychanie trudnym do istotnego sprecyzowania, wymagającym długoletnich badań, a przedewszystkiem ostrożności.

Gdyby sztuce Zawieyskiego nadać ściślej określone położenie geograficzne i wskutek tego pogłębić jej regjonalny koloryt, bardzo wiele akcentów nabrałoby szerszego tonu, a symbolika djalogów zabarwiłaby się żywą krwią i odnalazła drogę do audytorjum. Uderza też nierównomierność zasadniczych postaci.

W sztukach tego rodzaju efektownym, lecz częstokroć zdradzieckim współczynnikiem scenicznym jest symbol. Zawieyski, skonstruowawszy bardzo dobrze realistyczny akt pierwszy, zbyt łatwo uległ w następnych pokusie symbolizmu, osłabiając zasadnicze zamierzenie i zacierając kontury obrazu.

Mimo jednak tych usterek, wypływających nie z braku talentu, lecz doświadczenia, „Dyktator On" należy do ciekawych debiutów teatralnych, dzięki aktualności tematu, poruszeniu zagadnień o bardzo szerokim horyzoncie i bezpośredniej trosce o inne człowiecze jutro.

Teatr Kameralny z całym pietyzmem wystawił „Dyktatora". Karol Adwentowicz w tytułowej roli miał właściwą oschłość, patos i niezbędne dla tej postaci akcenty kabotynizmu. Prawdziwą niespodzianką był debiut autora. Z licznej obsady wyróżnili się pp. Grelichowska, Butkiewicz, Maliszewski. Reżyserja p. Bujańskiego i dekoracje p. Golusa bez zarzutu. *J. S. W.*

PANI ELŻBIETA W „ŚWIECIE"

W numerze dzisiejszym znana, popularna autorka prac z dziedziny gastronomji, Pani Elżbieta, obejmuje w „Świecie" dział, który nazwaliśmy „Kącikiem praktycznym". Będą to wypróbowane, znakomite przepisy i rady, które Czytelniczki nasze powitają niewątpliwie z żywem zadowoleniem. Już dziś, na str. 25-ej podajemy dwa przepisy Pani Elżbiety nieznanych w Polsce sposobów przyrządzania zająca.

„KĄCIK PRAKTYCZNY"

Nasz powszedni szarak

Grudzień to królestwo zajęcy.

Zające mają tę wadę, że się łatwo przejadają; entuzjastycznie przyjmowane w początku października, już w końcu listopada mniej chętnie są spożywane, może dlatego, że tak ich jest wiele, a może i dlatego, że wszędzie jednakowo są przyrządzane.

Zawsze i wszędzie zając szpikowany i duszony w śmietanie, no i jako rezultat praktycznego nastawienia kryzysowych gospodyń — pasztet z przodków zajęczych.

We Francji i we Włoszech, gdzie zając jest rzadką i kosztowną zwierzyną, jedzoną od święta, podawaną na wielkie przyjęcia, a więc sprzykrzyć się nie może, mają dziesiątki sposobów jego przyrządzania, należałoby więc i u nas podawać go coraz to w innej postaci — a amatorów nań nie zabraknie.

„Civet de lièvre"

Po zamarynowaniu na noc w lekkim occie, po połowie z winem, naszpikować zająca i zrumienić go ze wszystkich stron w maśle. Porąbać go na kawałki, ułożyć w ładnym platerowanym lub aluminjowym rądlu, z którym się go poda do stołu (kto ładnego rądla nie posiada, ten brzydki rądel białą serwetą owinie, i też będzie dobrze). Dodać parę pokrajanych cebul, dwadzieścia deka pokrajanego w plastry, wędzonego boczku, kilkanaście całych lub nawpół przekrajanych pieczarek, kilka ziarn pieprzu i ziela, listek. Dusić podlewając octem i winem z marynaty, aż zając zmięknie. Zasmażyć łyżkę masła i łyżkę mąki, dodać zebraną przy oprawianiu zająca i przetartą przez sito krew i tyle lekkiego, czerwonego wina (może być krajowe), aby sos był dobrze zawiesisty. Posolić sos do smaku, lekko popieprzyć, zalać nim uduszone mięso, zagotować razem raz tylko, i gorące bardzo podawać. Kto lubi, może dodać tyle parówek, ile jest osób przy stole; parówki te należy przed włożeniem pokrajać w kostkę. Oddzielnie podać duże grzanki z pszennego chleba z obu stron zrumienione w maśle.

Zając z fromażem

Zająca oczyszczonego i zamarynowanego jak zwykle upiec nie szpikując go a tylko zawijając w cienkie płatki młodej a jeszcze lepiej wędzonej słoniny, aby nie wysechł: pod koniec pieczenia posypać zająca mąką i polać kilku łyżkami śmietany, aby się uformował krótki ale zawiesisty sos. Wątróbkę z zająca i wątróbkę z dużej gęsi — w braku jej ćwierć kg. wątróbki cielęcej udusić z dużą cebulą, kawałkiem słoniny i słoniną z zająca. Przepuścić to przez najdrobniejsze (pasztetowe) sitko maszynki do mięsa. Włożyć do miski i ucierać wraz z sosem z ostudzonego zająca, sporym kawałkiem śmietankowego masła, kieliszkiem madery lub węgrzyna. Dodać 10 dkg. utartego parmezanu, a w braku jego starego, suchego szwajcarskiego czy nawet litewskiego sera, ucierać, aż się uformuje gładka, jednolita masa. Dać temu postać godzinę. Gdyby masa była zbyt twarda, dodać słodkiej śmietanki lub młodej kwaśnej śmietany i jeszcze razem utrzeć. Zająca ułożyć na półmisku, zdjąć z niego całe mięso nie naruszając kości. Pokrajać na ukośne plastry, każdy cienko smarować fromażem i układać napowrót na swoje miejsce. Pozostałą masę przełożyć do tutki pergaminowej lub do specjalnego woreczka z metalowym końcem. Tutce się ucina koniec, metalowe zakończenie woreczka samo ma ładne nacięcia.

Wyciskając ostrożnie masę, ubrać nią ładnie całego zająca. Brzegi półmiska ubrać bądź zieloną sałatą, bądź marynowanemi w occie z chrzanem (jak na ćwikłę) burakami, bądź też owocami marynowanemi w occie (śliwki, wiśnie, gruszki i t. p.).

Sos Cumberland

Do takiego zająca przyrządzić sos Cumberland, który się robi w sposób następujący (podaję tu oryginalny przepis angielski, — sos chrzanowy zaprawiony galaretą z borówek, który wielu kucharzy podaje jako Cumberland, nic z tym królem sosów nie ma wspólnego): filiżankę galarety porzeczkowej, pół filiżanki madery (którą można zastąpić węgrzynem), dużą cebulę hiszpańską utartą na tarce, również na tarce otarte skórki z jednej cytryny i jednej pomarańczy, sok wyciśnięty z obu tych owoców, łyżka angielskiej, ostrej musztardy, na koniec noża papryki, tyleż imbiru, tyleż gałki muszkatałowej, tyleż białego pieprzu, kawianą łyżeczkę soli, wszystko to postawić na ogniu i wolno gotować mięszając od dna, aż cebula swą pierwszą surowiznę i ostrość straci. Gdyby sos był zbyt rzadki, herbatnią łyżeczkę mąki kartoflanej zmięszać z łyżką zimnej wody, wlać do sosu i zagotować. Powinien być dobrze zawiesisty i mieć ładny jasno-czerwony kolor. Ostudzić go i podawać w sosjerce.

Jestem przekonana, że zając podany w tej postaci będzie smakował najbardziej do niego zniechęconym gościom.

Pani Elżbieta.

KOSMETYKA PANI ZOJI

KREM SPORTOWY.

Jak cudownie wpływa ruch na świeżem powietrzu na cały organizm — doskonale to wiemy. W śnieżnych obszarach na nartach lub ślizgając się na łyżwach — jesteśmy otoczeni ogromną ilością tlenu, który nietylko wchodzi w nasze płuca i krew, nietylko pobudza przemianę materji, ale odmładza, odświeża i ozdrawia nam cerę.

Dostatecznie przypomnieć sobie powracających ze ślizgawki lub z nart. Cera świeża, rumiana, nieraz bronzowa, opalona — cały wygląd czerstwy. Nie zważając jednak na te wszystkie dobrodziejstwa, któremi nas darzy powietrze i słońce przy sportach zimowych — nieumiejętne nasze zachowanie się może nam wyrządzić i szkodę, o ile nie zachowamv pewnych ostrożności.

Silne działanie promieni słonecznych w górach może powodować poparzenie skóry,a niska temperatura — odmrożenie twarzy i kończyn, które na dłuższy okres sprawi nam wielki kłopot, gdyż leczenie odmrożeń jest uciążliwe i przewlekłe, przytem wygląd jest okropny — sino-czerwone obrzęki, plamy i nieraz bolesne wrzodziki.

Robiąc wyprawę sportową, należy skórę przedewszystkiem dobrze oczyścić, następnie pokryć warstwą odpowiedniego kremu.

Kremy sportowe zabezpieczają przeciw działaniu wiatru, zbyt silnych promieni słonecznych, no i przeciw odmrożeniu.

Sportowe kremy zazwyczaj sporządzone są na tłuszczach, mają właściwości światłochronne oraz zawierają kamforę, używać je należy nie tylko na twarz, lecz na ręce i stopy.

Uzbrojeni dopiero w pancerz ze specjalnego kremu — śmiało możemy cieszyć się rozkoszami zimowych sportów.

SALON ZOJA

Warszawa. Służewska 4.

Postawa narciarza

Ogromnie jest ważny dla narciarza jego sposób trzymania się.

W tym celu służy specjalny pas sportowy, zarówno dla pań, jak i dla panów. Krótki elastyczny pas, przeważnie zapięty ztyłu, zapewnia swobodę ruchów i doskonale utrzymuje linję oraz zabezpiecza od przeziębień nerki i wszystkie organy jamy brzusznej. Dla dzieci wskazany jest także na nartach „Gradehalter" czyli prawidło dla prostego trzymania się, które zapewnia dziecku zdobycie prawidłowej postawy.

Wszystkie te nowoczesne specjalności w zakresie gorseciarstwa zastosowanego do sportów przywozi p. Augusta Szymkowicz z Wiednia, gdzie udaje się kilka razy do roku, aby mieć zawsze ostatnie nowości.

A. SZYMKOWICZ
Wspólna 33 m. 24.
TEL. 9-23-93.



Gen. przedst. na Polskę i w. m. Gdańsk D/H J. Hosiasson, Warszawa, Trębacka 4

TORTURY REKLAM ŚWIETLNYCH

Przed rozpoczęciem każdego seansu kina wyświetlają t. zw. reklamy. Znamy je wszyscy dobrze, a wiele osób przeczekuje ten punkt „programu" w poczekalniach.

Całkowity brak pomysłów graficznych i reżyserskich, ani szczypty dowcipu lub umiejętności zainteresowania widzów — wywołują wręcz przeciwny rezultat. Już sama myśl o reklamowanych nożykach do golenia, pończochach, czy krawatach, oglądanych na ekranach, odstrasza od kupna, dzięki właśnie świetlnej reklamie.

Obecnie jedna z fabryk gilz pobiła rekord bezmyślności. Mały chłopczyk zamierza uszczęśliwić ojca w dniu imienin tym artykułem. Młotkiem, który wystarczyłby do rozsadzenia żelazo-betonowego muru, rozbija skarbonkę, by wydostać kilkanaście groszy. Potem cała rodzinka, upozowana w czułem tete-a-tete, zachwyca się gilzami, a publiczność makabrycznie się śmieje, lecz częściej tupie.

Również niefortunne są krótkometraże Polskiego Związku Żeglarskiego — dzięki fatalnemu udźwiękowieniu. Obrazki te, dość miłe zresztą jako zdjęcia, „objaśnia" zupełnie niepotrzebnie niejaki T. Szczerba. Skrzeczący, antypatyczny głos, połączony z fatalną dykcją, bynajmniej nie przyczyniają się do propagandy morza.

Publiczność warszawska ze stoicyzmem znosi torturę reklam świetlnych, co świadczy o wrodzonej naszej łagodności, czy ślamazarności.

Gdzieindziej bowiem protestowanoby głośno i tą drogą zmuszono autorów reklam do większej pomysłowości, mogącej zachęcać a nie odstręczać od zachwalanych artykułów.



ANDRÉ BIRABEAU

SAMOBÓJCA

(Nowela)

Rzuca gniewnie pióro, które tocząc się plami świeżo zapisaną stronę. Ciska dokoła spojrzenia, które chcą widzieć wszystko naraz, a nie widzą nic. Wreszcie pada na fotel.

Otwiera usta. Jakiś czas robi wrażenie czekającego na badanie dentystyczne. Ale tylko chwilowo, bo teraz oto wkłada w usta rewolwer. Jeszcze sekunda i wypali...

Wtem — „drrryń"... odzywa się telefon. Oparty na cynglu palec już wykonał część pracy dla oddania strzału.

I nagle ten dzwonek! Palec machinalnie się rozpręża.

Możliwe jest — choć nie upieram się, że pewne — iż gdyby Gilbert wybrał był inną drogę samobójstwa, naprzykład skok z mostu, najbardziej niespodziany hałas nie odwlekłby tego aktu.

Ale w pokoju szczelnie zamkniętym i zasłoniętym firankami, gdzie czuje się tak osamotniony, — ów dzwonek przenika go do głębi, przytłacza...

I nie może puścić go mimo uszu, ani uspokoić się po wzburzeniu przezeń wywołanem. I zdaje mu się (a uczucie to nie jest takie głupie), że gdyby wystrzelił w momencie dzwonienia telefonu, nie zabiłby się, jak należy... samobójstwo byłoby jak zepsute.

Wszystko trwało kilka sekund. Teraz trzyma wyjęty z ust rewolwer i zamyka usta. Dzwonek nie milknie. Ze złością podnosi słuchawkę.

— Hallo!

— Hallo! Jak się masz, stary! Mówi Kreimler. Co słychać?

— Doskonale, dziękuję!

(W takiej chwili zadawać podobne pytania!).

— Już bałem się, że cię nie zastanę. Słuchaj, Gilbert, mam do ciebie wielką prośbę. Doprawdy, aż przykro mówić. Później ci wszystko wyjaśnię. No więc, potrzeba mi na dziś wieczór dziesięć tysięcy franków. Gdybyś mógł...

— Zrobione.

— Poczekaj... możeś źle zrozumiał?

— Przeciwnie. Chcesz dziesięć tysięcy franków? Zrobione!

(Skoro i tak się zastrzeli....).

— Złoty z ciebie chłop, Gilbercie! Tak odrazu, bez gadania. Już lecę!

— Dobrze. Ale... nie potrzebujesz się fatygować na górę. Ja... wyjeżdżam... Czek odda ci dozorca w kopercie.

Kreimler był jego przyjacielem. Prawda, że nie najlepszym. Ale... ponieważ i tak się zastrzeli...

Wraca do biurka. Pióro, które przed chwilą pisało list pożegnania, złorzeczenia i miłości do kochanki, co odeszła,— jeszcze nie obeschło. Podpisuje czek dla Kreimlera i wkłada do koperty. Odda tylko przysługę koledze, a następnie wykona swój zamiar.

Dzwoni do stróża. Jednak... nikt się nie odzywa. Widocznie pan dozorca sobie wyszedł. Często mu się to zdarza, odkąd naprzeciwko założono knajpkę.

— Ech!

Zaczyna się denerwować. Jeszcze czekać! Przeklętego stróża nigdy niema w domu!

Jakże bezsensowne są te myśli! Właśnie myślał sobie: poskarżę się jutro gospodarzowi. Poskarży! Jutro!... Drwi sam z siebie.

Chodzi z kąta w kąt. Zaraz zadzwoni ponownie. Ze zdenerwowania stawia olbrzymie kroki, zawadzając o meble.

— Hallo!

Znowu nikt nie odpowiada. Jeszcze tylko raz spróbuje, i jeśli teraz nie zastanie stróża, tem gorzej dla Kreimlera.

Wrócił do biurka. Nagle nowa myśl nim owładnęła, wymiatając chmarę innych, które kotłowały się w głowie. Pomyślał: te dziesięć tysięcy franków, to tak jakby Kreimler odziedziczył po mnie. To mu przypomniało, że warto napisać testament.

Nie miał dotąd czasu o tem myśleć. Był zdradzony, opuszczony przez kobietę, którą ubóstwiał, życie nie miało już dlań powabu, więc się zabija i oto cała historja. Ale gdy się tak zastanowić....

Najbliższym jego krewnym był kuzyn, solidny kretyn, żonaty z nadętym babsztylem. I tacy mają posiąść jego oszczędności, książki, obrazy! O nie! Zwłaszcza książki, zwłaszcza obrazy! Pieniądze głupstwo, mogą dostać się byle komu, ale do książek i dzieł sztuki trzeba ludzi, którzy się w tem kochają.

I przebiegł wzrokiem stosy książek, poobwieszane ściany.... Siada do biurka: „Ja, niżej podpisany..." ma tylko kłopot z wyborem: myśl goni za ludźmi kulturalnymi i inteligentnymi. Bourdilleau dostanie Claude Monet'a. Ale się ucieszy! Nie, raczej będzie zmartwiony, bo zdawał się mnie lubić... jednak swoją drogą będzie rad. A komu dać La Fontaine'a? Fondinowi? Czy choć oceni jego wartość? Ale, zapomniałbym o starym Velligeois! A dla Lulu nic nie zostanie? Biedna dziewczyna, nieładnie z nią postąpiłem! A...

Minuty płyną...

Siedzi teraz pogrążony w fotelu przy biurku. Pod ręką pełno zagryzmolonych kartek. Tylko na wielkim arkuszu widnieje, jak przedtem: „Ja, niżej podpisany". Zestawia, waha się, sporządza spis — i wspomina.

Na piórze, które zaciska w palcach, atrament już dawno wysechł.

Nagle „Drrryń"... ponownie rozlega się dzwonek, tym razem wejściowy. Gilbert zrywa się, jak ze snu. Otwiera. Przyszedł Kreimler.

— Jak się masz, stary! Stróż nie miał żadnej koperty...

(Stróż... Prawda, zupełnie o nim zapomniał!).

— Powiedziałeś mi, że cię nie zastanę. Ale domyśliłem się, żeś jeszcze nie wyjechał...

— Nie... nie, jeszczem nie wyjechał!

Nie wyjechał. I czuje, że już nie wyjedzie. Czynu raz przerwanego nie potrafi rozpocząć na nowo. Tych kilka minut wspomnień... wystarczyło. A pisanie testamentu: widzieć, co się zostawia i komu się zostawia! Doprawdy, dosyć zająć się sporządzeniem testamentu, by na zawsze stracić ochotę do śmierci.

Kreimler gada i gada, Gilbert już nie słucha: podchwytuje radosne melodje, któremi rozbrzmiewa jego dusza — tajemna radość powróconego do życia.

— Więc, wreszcie, — kończy Kreimler, — postanowiłem zadzwonić...

Gilbert spogląda nań z rozczuleniem.

— Mój poczciwcze, jak to dobrze, żeś zadzwonił!

Na to Kreimler:

— Masz czek?

— Ach, nie! Widzisz, mój drogi... przed chwilą sądziłem, że będę ci mógł pożyczyć, ale teraz... obliczyłem się... taka duża suma... niesposób...

No, bo teraz żyje i dalej żyć będzie— więc już jest całkiem inna sprawa, niż przedtem.

tłum. T. M.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Ś. p. Walerjan Kronenberg, prezes koła planistów, wice-prezes Warsz. Tow. Ogrodniczego, zmarł dn. 27 listopada r. b. w 75 roku życia. Zmarły po ukończeniu wyższych studjów architektury ogrodniczej w Berlinie i Frankfurcie, oddał się pracy na ziemi ojczystej, zakładając zgórą paręset parków i ogrodów. Park w Białowieży stanowiący chlubę naszego ogrodnictwa, jest dziełem pracy i talentu ś. p. Kronenberga. Zmarły przyjmował żywy udział w akcji społecznej — w następstwie czego dla swych zasług został powołany w 1920 r. na zaszczytne stanowisko ławnika magistratu naszej stolicy. Ubył z pośród nas człowiek prawy, o charakterze silnym, niedopuszczającym do wahań w twardych chwilach życia, niezrównany pracownik na niwie społecznej.

Cześć Jego pamięci!



ZASŁUŻONA PRZEŁOŻONA SZKOŁY



Przełożona gimnazjum P. JÓZEFA GAGATNICKA, z okazji 50-cioletniego jubileuszu prowadzenia szkoły, za zasługi na polu pracy oświatowej, wychowawczej i społecznej otrzymała od P. Prezydenta Rzeczypospolitej ZŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI.

PORADY KOSMETYCZNE

Odpowiedzi od Redakcji:

P. Zofji K. z Zakopanego. Przy skórze wrażliwej, niegdyś odmrożonej, koniecznem jest używanie kremów ochraniających, jak np. Krem Sportowy „Antiba", który znakomicie uodporni skórę twarzy i rąk. Zbyteczne włosy z łatwością usuwa Dépilatoire w proszku Pilocid - Antiba, który jest wygodny w użyciu i niszczy włosy w ciągu kilku minut.

P. Stefanowi H. z Równego. Przy włosach suchych i osłabionych, należy codziennie przy czesaniu skrapiać włosy płynem Quininol-Antiba i wcierać lekko w skórę głowy. Wzmacnia to cebulki włosowe i zapobiega wypadaniu. Po umyciu głowy proszkiem mydlanym „Savona" i wysuszeniem włosów, skropić obficiej Quininolem i wetrzeć mocniej.

P. Grecie Schuppowej z Gdańska. Radzimy zaprzestać mycia twarzy wszelkiego rodzaju mydłami, a używać wyłącznie kosmetyczne otrąbki migdałowe - Antiba znakomicie oczyszczające i wpływające dodatnio na naskórek. Ręce udelikatnia i wygładza stałe wcieranie galaretki na wodorostach morskich „Glicerijell"-Antiba.

ŚWIĘTY MIKOŁAJU!



daj mi na gwiazdkę 50%-owy abonament roczny do Teatrów Narodowego, Polskiego, Nowego i Małego!

CO NIOSĄ FALE RADJOWE?

KONCERT PARYSKI NA POLSKICH FALACH
czwartek — godz. 21.30.

„Gwiazdka dla domowników"
piątek — 12.45.

„Upominki artystyczne"
sobota — 17.50.

„O poetce improwizatorce Deotymie"
sobota — 18.45.

„Nuta ludowa w twórczości kompozytorów polskich" — koncert
niedziela — 17.00.

„Powieść kryminalna" w „Teatrze Wyobraźni"
niedziela — 18.00.

„Chór Juranda"
poniedziałek — 20.00.

„Zima na kliszy"
poniedziałek — 17.50.

„Tańce starofrancuskie"
wtorek — 17.00.

„Pieśni ludowe Śląska Cieszyńskiego" — koncert
wtorek — 19.00.

„Tola Mankiewiczówna"
czwartek — 15.45.

„Maryla Jonasówna"
czwartek — 18.15.

„Przyczyny walki z religją"
środa — 22.00.

Specjalne audycje radjostacji we Wrocławiu

W myśl radjowego porozumienia polsko - niemieckiego, stacja radjowa we Wrocławiu nadaje serję odczytów p. t. „Polen und Deutschland". Odczyty wygłaszane będą co tygodnia, przyczem, jak zapowiada kierownik stacji p. Krieger, prelegentami będą wybitni działacze kulturalni ze strony polskiej i niemieckiej.
W odczytach tych poruszane będą problemy interesujące szczególnie oba kraje.

Zaznaczyć należy, że na ostatniem zebraniu kierowników wszystkich rozgłośni niemieckich w Królewcu omawiane były sprawy praktycznej realizacji radjowego porozumienia polsko - niemieckiego w dziedzinie muzyki, odczytów i reportaży.

Kronika wydwnicza

(Książki nadesłane do Redakcji)

Irena Zarzycka „Wschody i zachody". Powieść. Ditto.

Zdzisław Andrzejowski. „Tajny front". Powieść. Ditto.

J. Courths Mahler „Zbrodnia w zamku Treuenbels'. Powieść. Ditto.

Marek Romański „Małżeństwo Neili Treunfels". Powieść. Ditto.

Leonidas Leonow „Złodziej". Powieść. 2 tomy. Przekład St. Leśniewskiego. Tow. Wydawnicze „Rój", Warszawa 1935.

Józef Andrzej Teslar. „Metamorfozy". Poezje. Skład główny Gebethner i Wolff. Warszawa.

Stefanja Sempołowska. „Na ratunek". Tow. Wydawnicze „Rój", Warszawa 1934.

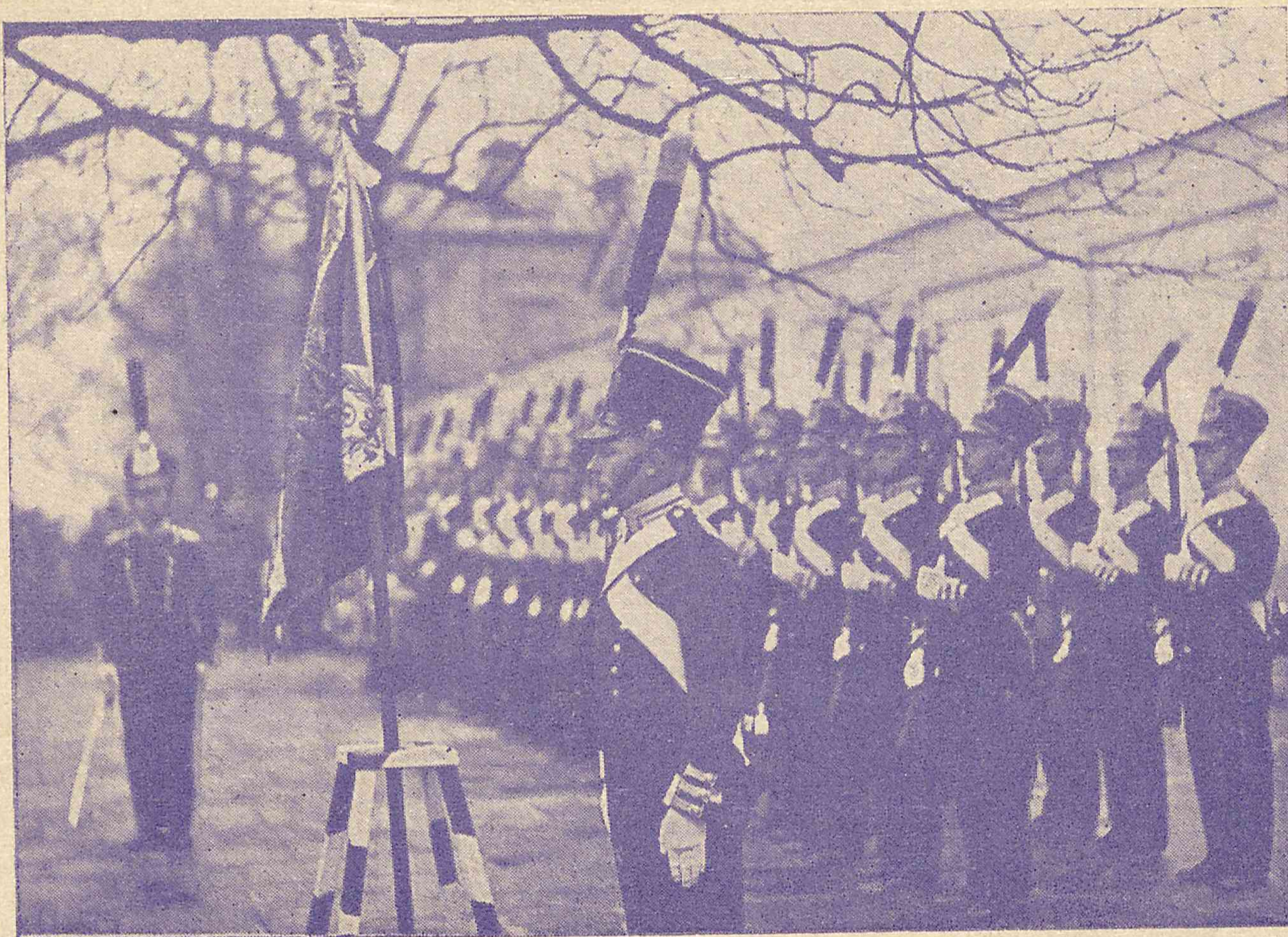
Czesław Jacek Centkiewicz „Wyspa mgieł i wichrów". (Pierwsza polska ekspedycja narodowa roku polarnego 1932/33). Tow. Wydawnicze „Rój", Warszawa 1934.

Zespół literacki „Przedmieście". „Pierwszy maja'. Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1934.

Jim Poker „Centaury XX wieku'. Bibl. hist. geogr. Nr. 237. Tow. Wydawnicze „Rój", Warszawa 1934.

ROCZNICA POWSTANIA LISTOPADOWEGO 1830 R.

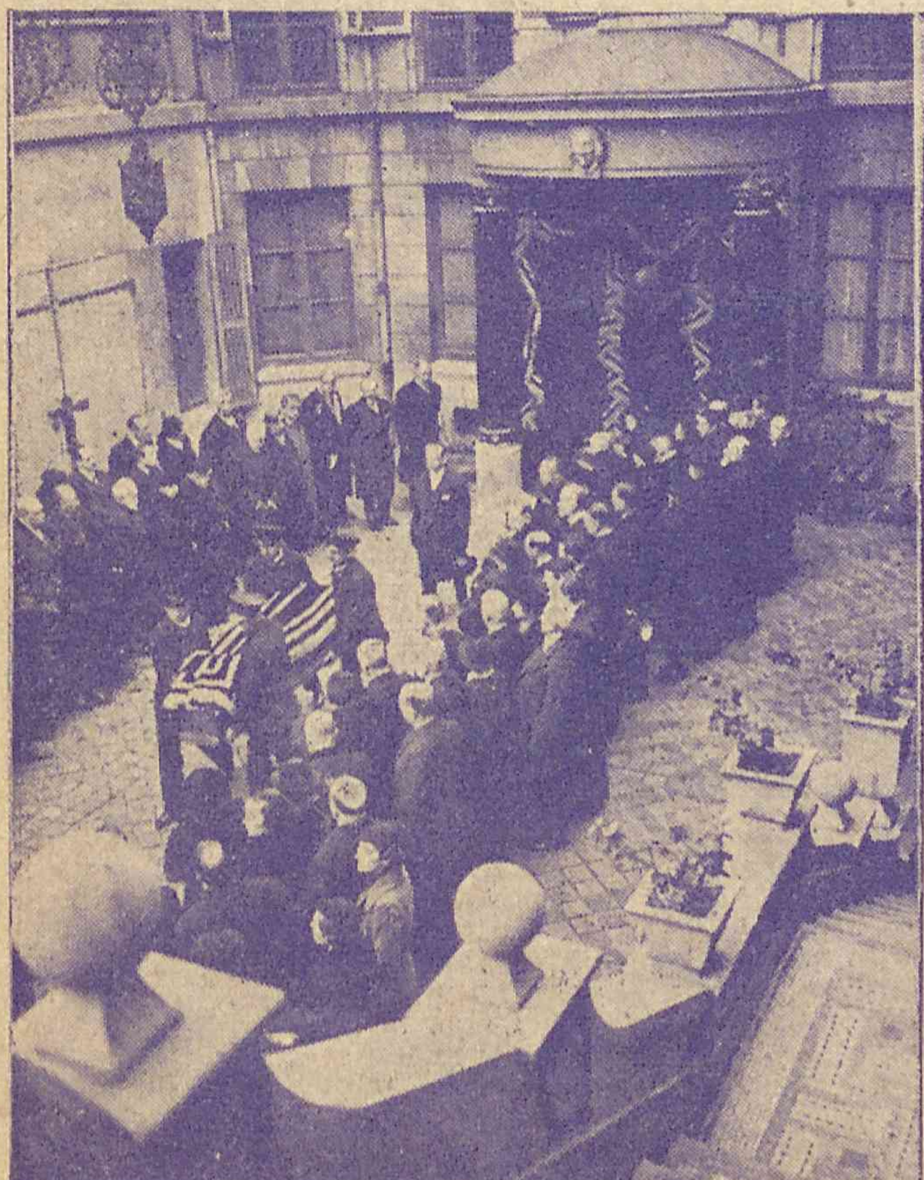
obchodzona była w stolicy ze zwykłą solennością



Fot. Jan Ryś



Z okazji rozpoczęcia sezonu zimowego Huculi witają przedstawicieli władzy. Wójt Szenkirzyk z chlebem i solą.



Zdjęcie na lewo: pogrzeb Filipa Berthelot, długoletniego Wicem. Spraw Zagr. w Paryżu.



„ŚWIAT" Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.
WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.
KONTO P. K. O. 3.755

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki
KUPON № 5
ze zniżką 30%
Ważny od 6/XII do 12/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **30%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr „ATENEUM"
KUPON № 5
ze zniżką 50%
Ważny od 6/XII do 12 XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY
KUPON № 5
ze zniżką 50%
Ważny od 6/XII do 12/XII r. b. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P